EPOKA

ROK IV. Warszawa, 20 listopada 1937 r. Rok IV, Nr. 22 (101)

Treść numeru:

PROF. MICHAŁOWICZ — OBYWATEL NA POSTERUNKU
W. Rzymowski

KLĄTWA SPRAWY NIEROZSTRZYGNIĘTEJ
W. K. Bieńkowski

Z DNIA NA DZIEŃ:
Po swojej drodze. — Audiencja. — Prof. Kridl ma głos. — „Jutro Pracy" a dziś Scheiblerów. — Zasługi, których wypada się wstydzić. — Głos teraźniejszości. — Dwa światy — dwie postawy duchowe.

GŁOS MATKI POLKI
Stefania Dunikowska

WSPOMNIENIE
Halina Dąbrowska

„POCO TYLE ŚWIEC NADE MNĄ?"
Andrzej Grot

RENESANS PRZYWILEJU
Michał Jordan

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

NOWY SEZON W TEATRZE
Marcelina Grabowska

KALENDARZ „SŁAWY" ENDECKIEJ

WYDARZENIA I DOKUMENTY

Prof. Michałowicz — obywatel na posterunku

Prof. Mieczysław Michałowicz, prezes Klubu Demokratycznego, jest człowiekiem, który od pewnego czasu nie może skarżyć się na obojętność ogółu: na rozgłos i popularność jego nazwiska pracuje cały obóz klerykalno-endecki. A wiemy, w jak donośne wyposażony jest on głośniki! Jak rozległy we wszystkich Grajdołkach odpowiada chór na każdy głos, podany z centrali Ciemnogrodu!

Niewybredna napastliwość ściga się w tym chórze z uciechą kalumniatorstwa; skrzecząca pospolitość współzawodniczy z barbarzyństwem; zapieniona nienawiść, własną zatruta małością, rywalizuje z ciemnotą, która nie rozumie sama czemu złorzeczy i sama, na prawdę, nie wie, czemu tak ponuro wyje...

W tych „głosach wśród nocy" nie zabrakło osobliwego zarzutu, w którym nazwisko i postawę obywatelską Michałowicza ośmielono się zestawić ze smutną pamięcią Sicińskiego, staroszlacheckiego posła z Upity. Czy w nikczemnym pomięszaniu pojęć i odwracaniu wartości można iść dalej? Czy można głośniej dać wyraz upadkowi, w jaki stoczyła się — w objęciach parafiańszczyzny — myśl polska w trzecim roku po zgonie Józefa Piłsudskiego?

Nieszczęśni krzykacze, opętani szałem, który z nich czyni bezwiednych przewodników hitleryzmu, nie pomną już, że protest samotny w naszych dziejach wcielał się nie tylko w Sicińskich; że bywał protest inny, który wpoprzek pijanej lub zaprzedańczej tłuszczy rzucał samotne męstwo Reytana. Gdy więc słyszymy głos protestującej jednostki, trzeba naprzód pilnie i starannie rozeznać, czy to odzywa się staroszlacheckie „liberum veto", czy apel do opamiętania?

Gdy jednak chodzi o stanowisko, które wobec zapędów totalizmu w Polsce zajął prof. Michałowicz, błędem byłoby mniemać, że jest to stanowisko osamotnione. Samotny był tylko ów akt odwagi, z jaką wystąpił on na terenie uniwersyteckim, aby przełamać gnuśne milczenie kompromisu i oportunizmu. Jako profesor i jako senator, stojący na gruncie legalizmu, a przede wszystkim jako obywatel-patriota, poczuwający się do najszczytniejszej tradycji polskiej, oparł się on temu, co uznał za samowolę i bezprawie. Potępił dyskryminację obywateli opartą na różnicach rasy, wyznania i pochodzenia. Uderzył w

średniowieczną zmorę „ghetta". Ale nie tylko w nią. Przeciwstawił się tej całej obcej, antypolskiej fali, na której „ghetto ławkowe" wypłynęło. Uderzył w inwazję obcej doktryny, dla której „walka z Żydami" jest tylko pierwszym etapem a może tylko osłoną dla rozprawy z ideologią polskiej demokracji, a więc z dążeniami całego naszego świata pracy.

I tak przyjęło czyn Michałowicza całe społeczeństwo. Tak zrozumieli go jedni i drudzy: ci, którzy dali się naciskom i wpływom obcym oszołomić lub zastraszyć, oraz ci, którzy stoją niezachwianie na gruncie wiary w niewyczerpane siły i zasoby własnego narodu, w ich uprawie i skupieniu widząc najpewniejszą rękojmię bytu i rozwoju Polski. Ci ostatni nie odrzucają przymierza i współdziałania z innymi krajami, ale szukają ich tam, gdzie Państwo Polskie znaleźć może oparcie dla swych dążności postępu, nie zaś sankcję lub zachętę dla pokus zastoju i wstecznictwa. Nade wszystko zaś wewnątrz własnego społeczeństwa zwracają się ku tym żywiołom, z których płynie moc, prężność i energia zdobywcza, nie zaś stara troska o przywilej pasorzytowania na cudzej pracy, na cudzej krwi, na cudzym dorobku.

Nie upłynęło kilku tygodni od pierwszych wystąpień prof. Michałowicza, a osoba jego wyrosła na żywy drogowskaz, dający kierunek zastępom inteligencji pracowniczej, na symbol demokracji, idącej naprzód. Ten człowiek, którego nazwisko zapaliło się niedawno jak samotny sygnał, jest dzisiaj symbolem rozległego i żywotnego ruchu. W tak szybką potęgę wymowy urastają te tylko symbole, które treść swą czerpią z dojrzałych potrzeb i nieprzepartych dążeń wielkich rzesz ludzkich.

Te szerokie rzesze społeczne w Polsce skupiają się w ruchu robotniczym P. P. S., w ruchu chłopskim Stronictwa Ludowego oraz w organizacjach i związkach pracowniczych inteligencji miejskiej. Gdy jednak zarówno robotnicy jak chłopi oddawna w partiach swoich znaleźli równoważny wyraz polityczny, inteligencja pracownicza, skupiona w związkach zawodowych, dotąd nie wykrystalizowała politycznie swego oblicza w sposób wyraźny. A przecież ona to główną stanowi pozycję we wszelkich rachubach faszyzmu. Z niej bowiem hierarchia faszystowska werbuje swych urzędników i oficerów, swych pretorian, swą płatną i najemną czeladź, niezbędną do obsługi interesów obszarniczych i finansowych. Bez pozyskania choć części sfer inteligenckich faszyzm nie znalazłby w społeczeństwie gruntu, na którymby mógł oprzeć swą najezdniczą stopę.

I ponieważ sam on to dobrze rozumie, przeto tak wielką przykłada wagę do formowania kadrów posłusznej, wytresowanej i oddanej sobie czeladzi i dlatego to zaczyna od zdemontowania i opanowania uniwersytetów. Zerwawszy maskę pozorów, faszyzm nie tai się z tym, że ogniska oświaty i kultury, jakimi powinny być wyższe uczelnie, chce zmienić w tereny werbunku i tresury dla młodzieży gotowej do usług pod rózgami faszyzmu. Dlatego to wszędzie tam, gdzie wkraczają na uczelnie hasła faszyzmu, milknie myśl, gaśnie nauka, w poniewierkę idzie książka i biblioteka, deptany bywa autorytet katedry profesorskiej, a górę biorą pałki i łomy żelazne, kastety i żyletki. Waleczni młodzieńcy, puszczając w ruch tę broń szlachetną, próbują jej tymczasem na głowach swych kolegów i koleżanek innej rasy lub innego wyznania i przekonania, nim wezwani zostaną do zastosowania jej w rozstrzygającej ofensywie przeciw robotnikom i chłopom.

Wszelako to, co rozumie a co taić przestał już faszyzm, zrozumiała, na szczęście, w swym trzonie zasadniczym także i inteligencja pracownicza. Zdała sobie sprawę z tej roli upokarzającej, jaką synom jej chciałby zgotować ustrój totalizmu. Zrozumiała, że jeśli nieszczęściem jest stać się ofiarą niewoli, to służyć komuś za narzędzie niewoli cudzej, bywa hańbą i upodleniem. Bo tylko cham duchowy może wolność własną sprzedać za prawo współżerowania na ucisku innych. Tylko cham może szukać zadowolenie w tym, że będąc sam niewolnikiem, może karki innych niewolników deptać. W ten sposób niegdyś stary carat rosyjski jątrzył i zaspokajał fałszywą dumę swych „istynno-rosyjskich" nacjonalistów: odzierając ich z praw na własnej ziemi rodzinnej, pozwalał im zato szerzyć bezprawie i ucisk na ziemiach polskich. Czyż Polska — pyta inteligencja pracownicza — odrodziła się po to, aby, w drodze okólnej, po przez tyranię faszyzmu, wracać do starych przez endecję umiłowanych wzorów caratu? I czy na to zdobyliśmy Państwo niepodległe, aby w nim, zamiast wolnych obywateli, żyły różne kategorie mniej lub więcej upośledzonych, mniej lub więcej uprzywilejowanych — poddanych?

Nie! zdecydował polski świat pracowniczy. I ponieważ dla orientacji swej szuka jasnego, dobitnego wyrazu, więc tak żywą, samorzutną i powszechną solidarnością otoczył i wsparł odrazu stanowisko prof. Michałowicza. W jego postawie odnalazł swoją własną. W jego obywatelskim, zrazu indywidualnym, posterunku ujrzał posterunek własnej zbiorowej obrony i walki.

I na tym polega treść i doniosłość tego aktu odwagi, na jaki zdobył się prof. Michałowicz, kładąc protest przeciw zalewowi oświaty i kultury polskiej przez doktrynę, obcą tradycji polskiej a wrogą interesom Rzeczypospolitej. Akt ów, z indywidualnej zrodzony woli, stał się dziś redutą, za którą stoi cały polski świat pracy, reprezentowany przez swe najświatlejsze, najbardziej postępowe i najpatriotyczniejsze żywioły.

W. RZYMOWSKI

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

Zmarł dn. 12 listopada w wieku zaledwie lat 28 Zbigniew Uniłowski, jeden z najbardziej utalentowanych pisarzy młodego pokolenia. Już pierwsza książka Zbigniewa Uniłowskiego p. t. „Wspólny pokój", zwróciła nań uwagę czytającej publiczności. Dalsze prace jego p. t. „Żyto w dżungli", „Pamiętnik morski" i pierwszy tom zamierzonego cyklu powieściowego p. t. „Dwadzieścia lat życia" wyróżniały się świeżością i oryginalnością formy literackiej, a także śmiałością stawiania zagadnień.

Literatura polska straciła pisarza, którego pierwsze loty duchowe znamionowały już niepowszednią siłę i dawały pewność, że w drodze dalszych osiągnięć wzbije się ku wyżynom twórczości. Żal i strata tym dotkliwsza, że ubył twórca i człowiek, którego cała działalność pisarska, zarówno powieściowa jak i publicystyczna przepojona była szlechetnym duchem czynnego humanitaryzmu.

Klątwa sprawy nierozstrzygniętej

Legenda zrobiła z Kościuszki bohatera chłopskiego, do godności ideowego sztandaru podniosła jego białą chłopską sukmanę, jaką przywdział po bitwie Racławickiej. Szlachecko-mieszczańscy historycy legendę tę dla zrozumiałych powodów pełnymi garściami eksploatowali — była ona jedyną jaśniejszą plamą na tle ponurej przeszłości chłopa polskiego.

Sprawa chłopska mogła stać się sprawą naczelną, a chłop siłą decydującą w powstańczo - rewolucyjnych ruchach 1794 r., gdyby została wysunięta i podniesiona przez rewolucyjną burżuazję, gotową powstanie chłopskie spożytkować dla zadania śmiertelnego ciosu zbutwiałemu ustrojowi magnacko - szlacheckiemu. Głębokie zacofanie stosunków gospodarczych w Polsce sprawiło, że burżuazja polska uczynić tego nie chciała i nie mogła. Ten sam powód, a przede wszystkim zacofanie stosunków agrarnych — spowodowały to, że chłop stanowił ciemną i bierną masę, która nawet w sprzyjających podówczas warunkach zewnętrznych nie była w stanie samodzielnie dźwignąć swojej sprawy.

Przywódcy powstania szermowali hasłem „wolności", miało ono wystarczyć za cały program. Chłopu jednak hasło to nie mówiło nic, było dlań całkowicie niezrozumiałe, mógł on w nim conajwyżej widzieć wytwór szlachecki — szlachta bowiem przez wiele wieków walczyła o „wolność". Dla chłopa sprawa wolności była to sprawa pańszczyzny i ziemi, oraz zniesienia szlacheckiego nad chłopem jedynowładztwa. Widzieliśmy zaś że wszystkie te sprawy zostały w programie powstania rozstrzygnięte niedwuznacznie: powstanie dążyło do utrzymania na całej linii dotychczasowego stanu rzeczy. Kościuszko w chwili wybuchu powstania żadnego programu, jak to wynika ze wszystkich oficjalnych enuncjacyj, w kwestji chłopskiej nie miał. Dążył do utrzymania dotychczasowego stanu rzeczy — dążyć musiał, jeżeli nie chciał, aby powstanie stało się zarazem wojną przeciwko szlachcie.

Nie po raz pierwszy ani ostatni w dziejach historia 1794 r. wykazała, że działalność pozornie najbardziej „ponadklasowa" musi w przełomowych, decydujących momentach ujawnić swe oblicze klasowe. Wykazała również, że w wielu momentach rozwój wypadków nie idzie po tej drodze, po której pchnąćby je chcieli inicjatorzy i kierownicy. Jeżeli ogromna większość zamożniejszej, folwarcznej szlachty nie odpowiedziała na wezwanie władz powstańczych, to nie dlatego, żeby cała ta szlachta wolała jarzmo moskiewskie czy pruskie. Znaczy to tylko, iż jasne było dla wszystkich, że po rewolucyjnym wstrząsie wyzwolona od zaborców Rzeczpospolita szlachecka mocno zmieniłaby swoje oblicze, że z rozpętanej zawieruchy przywileje feodalne szlachty wyszłyby mocno postrzępione. Rozumiała szlachta, że chłop nawet siłą dostawiony do szeregów wojska, skoro będzie uzbrojony, będzie zagrażał jej bezpieczeństwu. Gwarancje jakie dawali kierownicy powstania były stanowczo niedostateczne. Szlachta mogła wierzyć Kościuszce, ale nie wierzyła dynamice wypadków.

O tych niebezpiecznych konsekwencjach wiedzieli wszyscy prócz Kościuszki, prócz tych, którzy wszystkie narosłe sprzeczności klasowe chcieli rozstrzygać w planach strategicznych. Cechą większości wodzów, którzy jak Kościuszko są przede wszystkim generałami, jest to, że konsekwencje społeczne własnych posunięć widzą o godzinę za późno. O godzinę za późno dostrzegli politycy z kwatery głównej, że pierwsze ich posunięcia wystarczyły dla odpechnięcia od powstania szlachty, nie zrobiły zaś literalnie nic dla pozyskania chłopa.

Przyjrzyjmy się rozwojowi stosunku do sprawy chłopskiej w oficjalnych publikacjach władz powstańczych*).

24 marca (wybuch powstania) sprawa chłopska w „Akcie powstania" całkowicie pominięta. Aby nie wywoływać „wilka z lasu" powstańcy usiłują ją przemilczeć.

25 marca. Ukazuje się rozporządzenie o poborze rekruta (jeden człowiek z pięciu dymów). Przy tej okazji czytamy następującą zachętę: „Lud dostawiony, jakiejż od obywatelów współbraci nie winien wdzięczności? a dopieroż wygodnego opatrzenia podwód, wygód życia jemu koniecznych" itd. Nic więc poza troską, aby dostawiany rekrut nie został zrażony do wojska. Tego samego dnia zaleca się duchowieństwu, aby „wszelki lud... zagrzewać do obrony swojej najmilszej ojczyzny".

28 marca uniwersał „zaklina i prosi przezacnych obywatelów" (tzn. szlachtę), aby ci „samą łagodnością i dobrocią", bez żadnych gwałtów „wzbudzali w poddanych swoich chęć dobrowolnego zaciągania się pod chorągwie obrońców Ojczyzny".

5 kwietnia. Entuzjastyczny raport Kościuszki o zwycięstwie pod Racławicami, gdzie znaczną odegrała rolę „milicja dniem pierwej z rekruta dymowego do obozu przybyła". Sam Kościuszko zwraca się z prośbą do starosty Szujskiego, którego poddany Wojciech Głowacki odznaczył się w tej bitwie, „aby raczył ulżyć pracy i familji jego stać się ojcem w nie bytność jego". Świadczy to dobitnie jak daleki był Kościuszko od naruszenia świętych praw pańszczyzny nawet dla *jednostek* wyróżnionych zasługami, unikał ingerencji w święte prawo szlachcica do jego poddanego. Dla chorążego (został nim Głowacki) armii powstańczej prosi się o „ulgę w pracy".

16 kwietnia. Komisja Porządkowa woj. krakowskiego ubolewa nad tym, że „odbiera z wielu miejsc zażalenia, iż żo-

*) Por. Nabielak: Kościuszko jego odezwy i raporta.

„SAM ZOBACZ I OSĄDŹ"

Jedziemy z wizytą, o której mój towarzysz nie chce mi dać żadnych wyjaśnień, poza zwięzłymi „sam zobacz i osądź". Wiem, że to będzie dzielnica bezrobotnych, że się napatrzę biedy... W Gdyni jest bezrobocie: spłynęło tu w swoim czasie mnóstwo biedoty z całego kraju, a nawet z zagranicy... Jest to nędza osobliwa, nie ta wiadoma wielkomiejska, nieomal tradycyjna. Magnes pracy przyciągnął tu ludzi z całego kraju, ale przyszło ich za wiele, uwikłali się w wegetacji, postanowili oczekiwać, nie widząc innego wyjścia. Wyzysk spekulantów mieszkaniowych, zmusił ich do stawiania prowizorycznych schronisk, które powoli przeistoczyły się w trwałe osiedla najczaruiejszego bytowania

To dzikie budownictwo porastało cudze grunta, stąd koczownictwo, lęk przed wysiedleniem...

Tak zdrowy element roboczy, zżarty nędzą i oczekiwaniem, przeistacza się powoli w lumpenproletariat, zawodowych łazików, żyjących z kradzieży, z zapomóg (o ile są) a często z grabieży i żebraniny. Tak wyprodukowany pasorzyt społeczny już nie ozdrowieje. Istnieje projekt aby tych, co nie posiadają dowodu osobistego, wysiedlać z terenów nadbrzeżnych, jako ze strefy granicznej — a przecież ci ludzie przyszli tu po ten dowód osobisty, przywołał ich tu głos pracy, twarda konieczność bytowanic,

Okrutna jest bezwzględność tego pozbycia się ich. Dokąd pójdą?...

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

(wyjątek z reportażu *„Gdynia na codzień")*.

ny i familję tych włościan, którzy oddani są do milicji wojewódzkiej... bezwzględnie robociznami zostają obciążeni". Komisja apeluje do sumień szlacheckich o „ludzkie" obchodzenie się z rodzinami poborowych. Szlachta zdecydowanie nie chciała wyrzec się pańszczyzny należnej jej od „obrońców ojczyzny". Pozostałe rodziny były zmuszone do robót w tej samej ilości. Wpływało to ogromnie na nastroje chłopów „dostawianych" do wojska. Prócz tego dziedzice, dopełniając powinności poboru, wyznaczali ludzi według własnego uznania, wybór ich padał przede wszystkim na chłopów niemiłych sobie, bardziej opornych. W tych warunkach znaczna część chłopstwa musiała być usposobiona wrogo, ukrywali się po lasach, tam zaś urządzano na nich polowania i dostarczano do wojska w kajdanach. W samym obozie mnożą się coraz bardziej skargi walczących chłopów na ciężary nakładane na ich rodziny.

19 kwietnia. Ponieważ odezwy i apele do szlachty nie odnosiły żadnego skutku, Kościuszko w formie błagalnej prośby („szlachetne dusze... przychylcie się chętnie do wniosku") poleca: „1-o. Iż pańszczyzna, tam gdzie jej było dwa dni, na dzień jeden; tam gdzie jej było trzy dni, na półtora dnia; tam gdzie było cztery dni i więcej, na dwa dni jest zredukowana. 2-o. Obligować będzie dziedziców, żeby zalecone było ekonomom, podstarościm i wszelkim dóbr administratorom, ludzkie i sprawiedliwe obchodzenie się z ludem, zakazując arbitralnych kar i surowości, wyjąwszy przypadek nieposłuszeństwa, lub niedopełnienia swych powinności". Z niejasnego brzmienia odezwy wynika, że ulgi te mają się stosować tylko do rodzin poborowych. Odtąd codziennie niemal ukazują się odezwy pełne błagań o względy dla chłopów.

20 kwietnia. Komisja woj. krakowskiego ogłasza: „iż włościanie byli i zostają zawsze pod opieką rządu krajowego", że „ciemiężyciel i prześladowca włościan, tychto walecznych kraju obrońców, jako nieprzyjaciel Ojczyzny uważany i karany będzie". Zostają wyznaczone komisje, których zadaniem będzie ustalać jakie ciężary ma ponosić rodzina poborowego. Po powrocie nie będzie on odrabiał pańszczyzny za okres miniony.

Oczywiście wszystkie te odezwy i uniwersały kończyły swój żywot na papierze. Sytuacja była ta sama tzn. coraz gorsza.

2 maja. Kościuszko przystaje na ustępstwa, zaleca, aby chłopu idącemu do wojska przynajmniej jeden dzień pańszczyzny był darowany. Główna kwatera robi rozpaczliwe wysiłki w celu zdobycia masowej podstawy, w celu pokonania oporu, jaki napotkała z obu stron. „Po dniach kilkunastu starań i wysile nadludzkich ogół siły zbrojnej doszedł zaledwo do liczby 7.000. Przywiedziony prawie do rozpaczy stanem tak niepomyślnym rozkazał Kościuszko, aby cała masa wiejskiego ludu uzbrojoną została. Atoli ze smutkiem należy wyznać: w województwie liczonym do najgorliwszych, (krakowskim), w którym zaciąg 5-tej części ludności 16.000 wojowników powinien był dostawić, *pospolite ruszenie* dostarczyło... 2.000 ludzi!"*).

Poborowi stanowili tzw. milicję wojewódzką, działającą w granicach swego województwa, z chwilą wkroczenia do woj. sąsiedniego milicja ulegała rozpuszczeniu i wracała do domu. Było to rzecz prosta ustępstwo na rzecz szlachty, aby nie pozbawiać jej na czas dłuższy rąk roboczych. Że ustępstwo to zrobione było z największą szkodą dla potrzeb wojny, zbyteczne dowodzić. Powstanie, mające walczyć ze stałą i dobrze zorganizowaną, armią samo rezygnowało z tworzenia stałej siły zbrojnej! Fatalne skutki tej koncepcji ujawniły się w woj. sandomierskim, gdzie „większa część szlachty uszła z kraju do Galicji, a pozostali więcej szkodzili niż pomagali". Musiał więc zawieść i pobór rekruta, chłopi zaś krakowscy nie mogli działać w obcym województwie!

*) Nabielak d. c. str. 94

Pospolite ruszenie zawiodło z przyczyn więcej niż zrozumiałych. Pobór i akcję werbunkową oddano w ręce szlacheckie, ustanowiono w każdym woj. „generał - majora ziemiańskiego", którego zadaniem było organizować siłę zbrojną. Był to nawrót do dawnych tardycyj z tą różnicą, że dawniej taki generał ziemiański prowadził pospolite ruszenie szlachty teraz zaś w „demokratycznych" czasach prowadzić miał chłopów.

Przytoczyliśmy wyżej kalendarzyk wydarzeń, jakie poprzedziły słynny Uniwersał Połaniecki. Z przytoczonych tutaj oficjalnych wypowiedzi wynika jasno, że w pierwszym stadium powstania sprawa chłopska nie stała wogóle — stały tylko ręce chłopskie, mające chwycić za broń. Apele do szlachty w interesie chłopów nie zdradzają niczego więcej poza troską o militarny interes powstania, przez cały czas niema najlżejszego akcentu *społecznej reformy.* Chłopów usiłuje się zachęcić do walki przysłowiowym dobrym słowem, pustym frazesem „patriotycznym".

Wszystkie te rachuby zawiodły. Zawiodła szlachta, niechętnie lub wrogo ustosunkowana do powstania; szlachta, z której chciano uczynić aparat dźwigający powstanie; biernie lub wrogo ustosunkowała się większość chłopów, którym do pańszczyzny dokładano jeszcze jeden ciężar „obronę ojczyzny".

Jednocześnie, kiedy wyjaśniło się stanowisko szlachty na południu, wybucha nowe ognisko walki w Warszawie. Tam sytuacja jest wyraźna od pierwszej chwili — siłą walczącą jest lud miejski, opowiadający się przeciwko reakcji szlacheckiej. W obozie kościuszkowskim walki warszawskie a krótko potym i wileńskie przechylają szalę na lewą stronę.

W tych warunkach zwycięstwo Racławickie mogło nabrać cech drogowskazu. Dochodzi do głosu kierunek radykalny, reprezentowany w obozie kościuszkowskim przez Kołłątaja. Zmierza on do zdobycia szerokiej podstawy przez oparcie się na ruchu ludowym miejskim, popartym przez pozyskane dla powstania chłopstwo. (Nie było bynajmniej to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny szlachcie). W tym celu należało przełamać bałwochwalczy stosunek do pańszczyzny, oraz wypełnić pierwszy postulat burżuazyjnej rewolucji — znieść poddaństwo. Należy przypuszczać, że te społeczne cele stały u większości działaczy z głównej kwatery na dalekim planie. Wywoływały napewno poważne obawy — decydujące były względy militarne, konieczność ratowania powstania za wszelką cenę. Niebezpieczeństwo było tym większe, że chłop mógł obrócić się przeciwko powstaniu. O bliskości tej groźby świadczy taki ustęp Uniwersału: „Winienem przeto podać do wiadomości narodowej, że Moskale szukają sposobów podburzenia ludu wiejskiego przeciwko nam, wystawiając mu arbitralność panów i dawną jego nędzę".

Z tych źródeł wypłynął ogłoszony dn. 7 *maja* Uniwersał Połaniecki.

Główne jego punkty brzmią: 1) Lud zostaje pod opieką rządu krajowego. 2) Osoba wszelkiego włościanina jest wolna, wolno mu się przenosić gdzie chce. 3) Lud ma ulżenie w robociznach tak iż ten, który robił 5 lub 6 dni w tygodniu ma mieć dwa dni opuszczone w tygodniu. Który robił 3 lub 4 dni w tygodniu, ma mieć opuszczony dzień jeden; kto robił 2 dni ma mieć opuszczony dzień jeden. Kto robił w tygodniu dzień jeden ma teraz robić w dwóch tygodniach jeden. (Przy tym punkcie jest zastrzeżenie, że obowiązuje on tylko przez czas insurekcji). Odbywający służbę wojskową przez czas jej trwania nie odrabiają pańszczyzny.

Zaznaczmy na wstępie, że bogobojna monarchia absolutystyczna w Austrii dała chłopom dziesięć lat wcześniej o wiele więcej, o wiele gruntowniej uregulowała sprawę chłopską, niż robiła to w Polsce w r. 1794 władza rewolucyjna. To też znaczenie tego aktu leży nie w tym, co dawał on chłopu. Posiada on znaczenie jako wyraz ścierających się tendencyj w łonie obozu powstańczego, jako posunięcie o charakterze

politycznym, szachujące szlachtę, grożące jej ingerencją rządu w niezależne dotąd od nikogo stosunki na wsi. Niewiele Uniwersał Połaniecki dawał chłopom. Najsłabszym jego punktem jest dwuznacznie postawiona sprawa ziemi. Mówi wprawdzie Uniwersał, że „własność posiadanego gruntu nie może być przez dziedzica żadnemu włościaninowi odjęta", ale to samo zdanie daje dziedzicowi szeroką furtkę wyjścia: „chybaby... dowiódł, że włościanin obowiązkom swoim zadość nie czyni". Wystarczy „dowieść", że chłop niedość gorliwie odrabia pańszczyznę, aby odebrać mu prawo do ziemi. Uniwersał daje „wolność" chłopu, któremu odtąd wolno będzie przenieść się dokąd zechce. Ale rzecz prosta z wolności tej może korzystać tylko rezygnując z ziemi, zostawiając ją panu, jako (należy się domyśleć) jej prawemu właścicielowi. Za niejasną frazeologią Uniwersału kryje się twierdzenie, że ziemia chłopska jest własnością pana. W rezultacie znaczenie zdania: „własność posiadanego gruntu nie może być włościaninowi odjęta" sprowadza się do zakazu odbierania chłopu ziemi „bez powodu", a więc do zakazu który w zasadzie obowiązywał i dotąd.

Historycy nasi oburzający się na Konstytucję, nadaną Księstwu Warszawskiemu przez Napoleona, że dawała chłopu „wolność" a nie dawała prawa do ziemi, że „razem z kajdanami zdejmowała chłopu i buty" — nie chcieli dostrzec, że konstytucja ta w zasadniczej tendencji szła po linii Uniwersału Połanieckiego. Uniwersał ten nieco w innej szacie, przystrojony w agitacyjną frazeologię antycypował ustawę napoleońską. Oba te akty potwierdzają zasadę, że burżuazyjna rewolucja w krajach gospodarczo zacofanych „wyzwalała" chłopa nie kosztem feodała na korzyść burżuazji, lecz właśnie na korzyść tych-że obszarników szlacheckich.

W praktyce znaczenie ustawy połanieckiej, jej wpływ na rozwój wypadków był nieznaczny. Przede wszystkim jak większość aktów tego czasu pozostał on na papierze. Wykonawcami mieli być sami dziedzice pod nadzorem komisyj województkich, w których również zasiadała prawie wyłącznie bogata szlachta folwarczna. Władzy zaś centralnej, która pokusiłaby się o wywarcie nacisku w tym kierunku jeszcze nie było, i stworzenie jej szło opornie. Szlachta, która na prowincji władała całym aparatem kościuszkowskim od góry do dołu, aktu tego poprostu nie zauważyła. Jeżeliby nawet zmniejszenie pańszczyzny mogło wywrzeć jakiś wpływ na nastroje chłopstwa, to szlachta posiadała na to skuteczną odtrutkę, — przerzucała koszta powstania na barki chłopskie, chłopom kazała płacić nakładane na siebie podatki. Pełno jest w dokumentach tego czasu próśb i gróźb, aby panowie ciężarów na nich nałożonych nie przerzucali na chłopów. Skuteczność ich należy przypuszczać była minimalna.

Z tych to powodów Uniwersał Połaniecki na postawę chłopstwa w stopniu dostrzegalnym nie wpłynął. Do większości z nich nie dotarł on w formie bezpośredniej, dotarł jako legenda znacznie później. Były jednak wypadki, że chłop poczuł się w prawie przystąpić do wykonania ogłoszonej ustawy, odmawiał odrabiania pańszczyzny, stawiał opór szlachcie — ale tego, co mogło być jedyną logiczną konsekwencją ustawy połanieckiej, powierzenia jej realizacji chłopu, jako jedynej sile, która ją wykonać mogła, tego bali się wszyscy kierownicy powstania. W tych wypadkach na chłopów spadają groźby i represje. Rządził tu strach — uzasadniony — przed rewolucją chłopską, która nie zatrzymałaby się zapewne na wyznaczonej a fałszywej darowiźnie.

Ustawa połaniecka nie dożyła kresu powstania, została zapomniana przez własnych jej twórców, starannie przez nich omijana, jako cenne ale przykre doświadczenie.

W. K. BIEŃKOWSKI.

Z dnia na dzień

PO SWOJEJ DRODZE.

Walne zgromadzenie Oddziału Grodzkiego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie, które odbyło się dn. 14.XI r. b. uznało między innymi jako rzeczy konieczne:

a) zwołanie zjazdu delegatów Związku w terminie statutowo przewidzianym, czyli nie później, niż w styczniu 1938 roku; b) umożliwienie powrotu do pracy tym, którzy wobec sytuacji w Z. N. P. wstrzymali się od pracy; c) zwolnienie tych wszystkich pracowników, których zaangażował odwołany kurator, p. Musioł.

Jako delegaci na zjazd Z. N. P. wybrani zostali pp.: Kolanko, prezes zawieszonego Zarządu Głównego, Nowicki — viceprezes, Tułodziecki, członek zarządu i przewodniczący wydziału gospodarczego Z. N. P., Pawłowski członek zarządu, oraz pp. Mamczar i Dobraniecki z zarządu Oddziału Grodzkiego.

Okazuje się, że p. Musioł swoim płodnym urzędowaniem zapracował w pocie czoła na wzrost moralnego autorytetu rozwiązanego Zarządu Z. N. P.

AUDIENCJA.

P. Prezydent przyjął na Zamku przedstawicieli ruchu robotniczego: politycznego (P. P. S.), zawodowego (Centr. Kom. Zw. Zaw.) i oświatowego (TUR).

Audiencja ta, po za faktem bezpośredniego zaznajomienia P. Prezydenta z postulatami świata pracy, czyni wyłom w praktyce ostatnich lat okresu pomajowego.

Nietylko to jest wymowne, że przedstawiciele Polskiej Partii Socjalistycznej mającej chlubne tradycje zbrojnej walki o niepodległość, stwierdzili dziś wobec Głowy Państwa, iż rzesze pracujące całej Polski zgłaszają swoje uzasadnione żądanie rozstrzygania o losach kraju i że zgłaszają swoje prawo w sposób stanowczy i ze stanowczą wolą osiągnięcia zamierzonego celu.

Ale wymowne także i ważne jest to, że obóz socjalistyczny, nie osłabiając w najmniejszym stopniu swojej zasadniczej postawy udaje się wprost do Głowy Państwa, ażeby w dobie ofenzywy faszyzmu zaznaczyć jaknajdobitniej zdecydowanie demokratyczne stanowisko rzesz pracujących.

Nietajony niepokój prasy reakcyjnej, wywołany krokiem P. P. S., świadczy o tym, że nie brak w naszym kraju elementów, które nawiązanie wspólnego języka między światem pracy a centralnymi czynnikami Rzeczypospolitej uważają za klęskę osobistą.

PROFESOR KRIDL MA GŁOS.

Okres bieżący można nazwać okresem deklarowania się po tej lub innej stronie linii podziału.

Każdy musi dziś sam siebie określać i sam na sam przeprowadzać rachunek swego sumienia. Musi dawać zewnętrzny wyraz swoim uczuciom, poglądom i ideałom. Każdy zaś, co chytrze i małodusznie stara się usunąć w cień, wyłgać się od rzeczywistości, zamaskować swoje przebiegłe niezdecydowanie i tchórzostwo tajemniczymi minami i gestami maga — staje się uciążliwą zawalidrogą.

Czołowi twórcy kultury polskiej i mężni obrońcy jej godności jasno i publicznie określają swoje stanowisko wobec zjawisk dzisiejszego życia polskiego. Ostatnio określa je znany historyk literatury polskiej prof. Manfred Kridl, idąc

w ślady prof. M. Michałowicza i prof. T. Kotarbińskiego. W artykule p. t. „Przypomnienie starych i prostych prawd" („*Wiadomości Literackie*" Nr. 731) tak formułuje swój zasadniczy pogląd:

„Ludzkość cała, Europa, a wraz z nią i Polska nie poto walczyły przez wieki w imię najszlachetniejszych ideałów — aby stoczyć się z powrotem i na długo w błoto barbarzyństwa. Wśród tych ideałów znajduje się kilka prostych i podstawowych prawd, jak wolność, równość, braterstwo, sprawiedliwość, honor. Wierność dla tych haseł musi obowiązywać jednostki i narody. Na nich oparte jest życie społeczno - polityczne pierwszych narodów Europy: Anglii i Francji. Polska, chcąc się utrzymać w świecie fizycznym i moralnym, musi iść tym samym torem, zwłaszcza, że może do podobnych tradycyj w swoich dziejach nawiązać.

To są stwierdzenia, które do niedawna wydawały się truizmami i banałami. W dzisiejszych podłych czasach nabierają jednak nowego blasku niezużytej i wiecznej prawdy. Musimy w jej zwycięstwo wierzyć, choćby wbrew nadziei. Na dziś zaś nie pozostaje nic innego jak ostra i bezwzględna walka, na wszelkich polach i stanowiskach, z chorobami antysemityzmu i nacjonalizmu, które są groźniejsze od „niebezpieczeństwa żydowskiego", bo są nasze, własne, przez nas samych wypielęgnowane i tuczone naszą ciemnotą, naszą lekkomyślnością i brakiem odpowiedzialności".

„JUTRO PRACY" — A DZIŚ SCHEIBLERÓW.

„Jutro Pracy", którego ciekawą rolę w sprawie Kindlerowskich Zakładów oświetliliśmy w poprzednim numerze, znalazło nowy powód do oburzenia.

Sprawa sama jest prosta. Dyrekcja kopalń towarzystwa „Saturn" spróbowała, pod piękną nazwą „przysposobienia pracy", wychować sobie kadry łamistrajków. Robotnicy zastrajkowali. Dyrekcja musiała ustąpić. Koniec.

Ale nie koniec dla „Jutra Pracy". Po przez kilka szpalt ciągnie się tasiemiec o antypaństwowości postępowania robotników. Jest tam i Stalin, i Komintern, i niebezpieczeństwo dla obronności kraju i Bóg wie co jeszcze. Wszystko dlatego, że robotnicy „Saturna" nie chcieli tolerować wyuczania łamistrajków na kopalni.

Ze zdziwieniem czytaliśmy ten artykuł. Co u licha? Gdzie Rzym, gdzie Krym? Skąd p. poseł Budzyński do Zagłębia? Wtem błysnęła nam myśl. Sięgamy do spisu spółek akcyjnych. Oczywista — jest.

Czy wiecie, co to jest towarzystwo „Saturn"? To rody łódzkich potentatów włókienniczych: Scheiblerów, Herbstów i Grohmanów. Tak, towarzystwo „Saturn" leży w rewirze panów z „Jutra Pracy". Nie trzeba było jechać aż do Sosnowca, wystarczyło zajść do pewnych dyrektorskich gabinetów. Uderz w Scheiblera, a Budzyński się odezwie.

Czy to też są kontakty z czasów wyborczych?

Jak wytłumaczyć sobie zjawisko, że narodowe, rewolucyjne i antykapitalistyczne sumienie „Jutra Pracy" zaczyna kipieć wtedy właśnie, kiedy jakaś zgryzota, wywołana groźbą strat, wdziera się do królestwa pp. Scheiblerów, Eisertów et tutti quanti?

ZASŁUGI, KTÓRYCH WYPADA SIĘ WSTYDZIĆ.

W listopadzie obchodzi Polska rocznicę odzyskania Niepodległości. Obóz „narodowy" postanowił tedy przypomnieć i swoje zasługi w walce narodu o wolność i zjednoczenie. Nie tak dawno przecież endecki program polityki „narodowej" zalecony został jako ideologiczna baza dla pracy pewnego wpływowego ugrupowania na odcinku młodzieżowym. Doczekawszy się uznania i hołdu ze strony, z której dotąd zawsze piętnowano politykę Romana Dmowskiego jako ugodową, carofilską i antyniepodległościową — postanowiło Stronnictwo Narodowe uczcić publicznie pewien, dyskretnie do niedawna przemilczany, odcinek „patriotycznej" działalności endeków po wybuchu wielkiej wojny. Przypominaliśmy niedawno na łamach „Epoki" chlubne wystąpienia polityków endeckich w jesieni 1914 roku*), wiernopoddańczą depeszę do Mikołaja Mikołajewicza, liczne deklaracje w prasie i w Dumie, wreszcie manifest osławionego Komitetu Narodowego, który jako maksymalny program polityki „narodowej" proklamował: zjednoczenie wszystkich ziem polskich pod berłem cara rosyjskiego. Obecnie endecka „Myśl Narodowa" uznała za stosowne (właśnie w listopadzie) przypomnieć swoim czytelnikom niesławne dzieje t. zw. legionu polskiego po stronie rosyjskiej. W serii artykułów na ten temat dość dokładnie odtwarza się tam polityczne tło endeckiego „czynu zbrojnego", przy czym dowiadujemy się, że „czyn" ten miał wesprzeć program zjednoczenia Polski pod rządami dynastii Romanowów. Dlatego uznając konieczność utworzenia wojska polskiego po stronie rosyjskiej" — z całą energią Roman Dmowski poświęcił się temu zadaniu, które też zostało uwieńczone pewnymi wynikami w postaci odrębnych endeckich oddziałów w armii carskiej. „Myśl Narodowa" podkreśla, że wybuch wojny wywołał na terenie Królestwa duże poruszenie; zrozumiano, że sprawa polska weszła w stan bezpośredniej aktualności. Jakież było wtedy zadanie „narodowej" polityki endeckiej? „*Chodziło — czytamy tam — o skierowanie zapału polskiej młodzieży na właściwe tory*". Niebezpieczne dla caratu nastroje społeczeństwa polskiego mogły przecież przerodzić się w groźne wrzenie rewolucyjne! Carat był kolosem na glinianych nogach i gdzie, jak gdzie, ale na ziemiach polskich popularnością się nie cieszył — mimo dziesięcioletnich z górą wysiłków endecji. Ratować carat — znaczyło ratować i siebie. Wspólny był interes i wspólne niebezpieczeństwo. Żałosna impreza „legionu" polskiego w armii carskiej miała otoczyć ugodową i antynarodową politykę endecji aureolą chwały wojennej. Krwią oszukanej garstki młodych endeków pragnął Dmowski przypieczętować swoją wierność dla Mikołaja II, powstrzymać i stłumić walkę narodu o niepodległość, zadokumentować przed światem, że Polacy stają twardo przy tronie Romanowów, zapewnić caratowi wieczne panowanie nad Polską. Jeżeli endecja *nie wstydzi* się dziś publicznie przypominać tego niechlubnego epizodu swej „patriotycznej" działalności — to wie, dlaczego. Otrzymała przecież legitymację, stwierdzającą pozytywną wartość polityki Romana Dmowskiego i jego wiekopomne zasługi dla sprawy polskiej. Dobrze się jednak stało, że młodzi, którzy tamtych czasów nie pamiętają, dowiedzieli się, na czym te zasługi polegały.

*) Patrz również w numerze dzisiejszym protokóły „narady" w 1915 r. p. t. Kalendarz „sławy" endeckiej.

GŁOS TERAŹNIEJSZOŚCI.

Nadzwyczajny Zjazd legionistów i peowiaków, który ostatnio odbył się we Lwowie, uchwalił między innymi rezolucje następujące: a) „Zjazd przeciwstawia się wszelkim próbom narzucenia Polsce ustroju totalnego, który jest zamaskowaną formą dyktatury i teroru klasy rządowej nad ogółem obywateli; b) zjazd z przykrością stwierdza, że wśród młodzieży akademickiej jest prawie zupełny brak synów chłopskich i robotniczych, szkodliwy dla normalnej struktury narodu, co jest jedną z przyczyn rozwydrzenia części akademików, którzy swoimi wystąpieniami przynoszą wstyd narodowi; c) zjazd wypowiada się zdecydowanie negatywnie przeciwko metodom pracy politycznej Zw. Młodej Polski, metodom pałki i bomby, obcym tradycjom żołniersko - legionowym i duchowi narodu polskiego. Zjazd protestuje przeciw publikacjom Zw. Mł. P., które usiłowały obniżyć wagę i zasługi naszego czynu żołnierskiego i przemycić rehabilitację w społeczeństwie ugodowej i sprzedawczykowskiej polityki Romana Dmowskiego i przedwojennej endecji".

DWA ŚWIATY — DWIE POSTAWY DUCHOWE.

Wincenty Rzymowski drukuje w „Dzienniku Ludowym" cykl artykułów, poświęconych zagadnieniom nauczycielstwa.

W ostatnim artykule p. t. „Dwa typy świadomości społecznej wśród nauczycielstwa", autor zestawia oblicza duchowe dwóch istniejących zrzeszeń nauczycielskich: jedno z nich to potężny liczebnie Z. N. P., reprezentujący godnie typ oświatowca pioniera, ożywionego ideałem społecznym; drugie — to „Stowarzyszenie Chrześcijańsko - Narodowe", poddające się bez reszty kurateli kleru. „Werbując — mówi W. Rzymowski — pod swe skrzydła część nauczycielstwa i zagarniając ją w odrębną organizację „Stowarzyszenia", sfery obskurancko-wstecznicze nie kryły się ze swymi dywersyjnymi celami wobec Z. N. P. Pod patronatem kleru chciano stworzyć ośrodek skupienia, któryby jednocześnie stał się ośrodkiem przyciągającym dla słabszych, mniej samodzielnych, mniej pod względem społecznym aktywnych jednostek ze Związku Nauczycielstwa.

„Szerokie, nadzieje wiązało duchowieństwo, a z nim i cały świat reakcji społecznej z wypiastowaną przez siebie grupą „Stowarzyszenia". Najpiękniejsze atoli nadzieje rozbiły się o fakt, nieodparty w swej prostej wymowie, że im bardziej z ambony podnoszono walory i uroki „Stowarzyszenia", tym liczniej nauczycielstwo zasilało szeregi Związku".

Z wywodów autora i z faktów przezeń podanych zdaje się jasno wynikać, że to, co nie udało się klerowi, próbował w okresie swego krótkiego urzędowania wprowadzić w życie p. Paweł Musioł, niefortunny, a dziś już odwołany kurator Z. N. P.

Wystarcza istotnie przerzucić samowańczo wydane przez niego numery „Głosu Nauczycielskiego", aby się przekonać, że wypełnione one zostały treścią, jakgdyby bezpośrednio dyktowaną z plebanii, a więc tą samą, na której dotychczas wychowywano potulne owieczki Stowarzyszenia.

Głos matki Polki

Na rubieży dwóch pokoleń

W dniu, w którym żywi spłacają dług umarłym — w dniu Zadusznym — otrzymaliśmy od pani Stefanii Dunikowskiej ze Lwowa kilka słów pośmiertnego żalu, rzuconych na grób tragicznie zmarłego człowieka — patrioty. Drukując te słowa, zaiste broczące krwią, chylimy czoło przed ogromem cierpienia, które w nich spoczęło i które woła o płomień oczyszczający, o bunt sponiewieranego człowieczeństwa, o męski czyn odkupienia.

EPOKA

Wspomnienie pośmiertne oficera Wojsk Polskich, dekorowanego czterema odznaczeniami francuskimi, ponadto polskim Krzyżem „Virtuti militari", „Krzyżem Walecznych", „Krzyżem Niepodległości" — wspomnienie pośmiertne oficera Wojsk Polskich, który zmarł kilka miesięcy temu. Tło jego śmierci i pogrzebu pozostanie niezatartą czarną plamą w dziejach dzisiejszej rzeczywistości polskiej. I kiedy wszyscy w okresie dni zadusznych wracają myślą do zmarłych i poległych, pragnę wywołać jego wspomnienie i oddać słowami tymi hołd jego cieniom.

Dnia 11 kwietnia 1937 r. zmarł we Lwowie Żyd, Nikodem Polak. Kilka dni przed śmiercią, z okazji zawiązania t. zw. „Ozonu", Nikodem Polak udał się do jednego z poważniejszych przyjaciół legionistów i całkowicie zdezorientowany, zrozpaczony, przeżarty swoją głęboką tragedią — pytał co ma teraz począć — a raczej co z nim poczną?! Jest przecież Polakiem-Żydem, Żydem — oficerem polskim — pariasem, dla którego niema w ojczyźnie miejsca... W tej ojczyźnie, dla której walczył na ziemi francuskiej, do której śpieszył, by bronić jej na własnych zrębach... Nie umiano mu dać odpowiedzi. Śmierć przecięła tragizm życia.

Gdybym nie była pewną, że dusza jego połączy się po zgonie z duchami najlepszych synów ojczyzny, z duchami bohaterów, precz bym odrzuciła wiarę w Boga — w Boga sprawiedliwego, krzyżowanego tylekroć tu na ziemi czynami rzekomych jego wyznawców.

Na pogrzeb Nikodema Polaka przybył pluton honorowy. Delegacje oficerskie, błękitny oddział Halerczyków i szeregi ludzi, pragnących oddać hołd zasłużonemu człowiekowi. Kiedy wynoszono z domu trumnę oficera, z położonego opodal Domu Akademickiego, z szeroko rozwartych okien polał się stek wyzwisk — wrzask skandowanego „Heil Hitler" — i w komendę żołnierską, oddającą honory zmarłemu, wdarło się to buszmeńskie wycie... polskich studentów. Gdy jeden z oficerów podszedł do okna, usiłując przemówić do szaleńców, zagłuszyli go krzykami „parobek żydowski". Ruszył kondukt — i poszła ta trumna mówić wielkiemu Bogu o pożegnaniu z ojczyzną...

Czy uwierzycie? Nie zaprotestował nikt. Ani władze uniwersyteckie, ani żadne inne, ani społeczeństwo. Tylko przez czas pewien chodziła garść ludzi ze zmierzchłymi twarzami po ulicach Lwowa, nieśmiejąca sobie spojrzeć w oczy — ze wstydu za tamtych — że tamci, czy to możliwe? Że tamci to są także Polacy!... Bywają okresy urodzaju, po których następują lata klęski. Bywa tak na roli — bywa tak w duszach ludzi.

Po okresach wielkiego rozkwitu sztuki, literatury, czy malarstwa, przychodzi okres upadku — wyjałowienie. Z tęsknotą czeka się narodzin wielkiego ducha — myśliciela, czy artysty. Po okresach romantyzmu, szlachetności, ideału — następuje cherlactwo duchowe, małość, tępota, chamstwo. Historia służy nam przykładem: rok 1831, 1863, 1914 dobył z trzewi Polski wszystko, co w niej było wielkie i szlachetnę. O Polskę walczył lud i robotnicy i inteligencja — szło walczyć i ginąć wszystko co szlachetne — bohaterstwo i poświecenie było wtedy synonimem Polaka. Padli — lecz Polska powstała. Idzie drugie pokolenie — pokolenie które wyrosło w wolnej ojczyźnie. Synowie żołnierzy — bohaterów. Zdawałoby się, że powinno to być pokolenie orląt! Szlachetność — ideały — umiłowanie wolności — poszanowanie człowieka — szacunek godności ludzkiej — wyssane z mlekiem matek, odziedziczone z ran ojców.

Tragiczne prawo płodozmianu wystąpiło obojętnie i nieubłaganie.

Mam dwóch synów, ale gdyby mieli należeć do tych tam z pogrzebu Polaka, wolałabym ich obu widzieć w trumnie.

Nikodemie Polaku — wierzę, że istniejesz w wieczystej doskonałości i w wieczystym świetle — i nie wiesz tego już tam, że zwłokom Twoim polska ziemia nie jest lekka.

STEFANIA DUNIKOWSKA.

Niemal jednocześnie z „Wspomnieniami" p. Stefanii Dunikowskiej otrzymaliśmy list od p. Haliny ze Zbirohowskich — Kościa-Dąbrowskiej z opisem nieszczęsnego pogrzebu Nikodema Polaka.

Wstrząsające wrażenie scen, których przygodnym świadkiem stała się p. Dąbrowska, wryło się boleśnie w jej duszę. Podany przez nią obraz wiąże się bezpośrednio z wspomnieniem p. Dunikowskiej w całość, która stanowić będzie dokument ponury.

Sądy i uczucia, zawarte w słowach obu wybitnych Polek znajdą serdeczny oddźwięk w piersi wszystkich rodaków, którym drogie są ideały Mickiewicza, Żeromskiego i Piłsudskiego, pod którego znakiem walczył Nikodem Polak.

EPOKA.

W tej chwili właśnie wynoszono trumnę. Żegnała krótko orkiestra. Żołnierze sprezentowali broń. Pochyliły się sztandary. Nagle, z pobliskiego Domu Akademickiego posypały się na publiczność jakieś pociski, którym towarzyszyły przeraźliwe gwizdy. Wzmogły się one gdy przemówił pułkownik Skórski, żegnając Zmarłego imieniem Stowarzyszenia Weteranów byłej Armii Polskiej we Francji, gdzie Zmarły walczył pod Verdun. Gwizdom towarzyszyły wycia, ogłuszające kołatki i w ruch puszczone dzwonki alarmowe.

Wybiegł z szeregów jeden z oficerów: — Panowie, uszanujcie pogrzeb człowieka, odznaczonego krzyżem Virtuti...

Odpowiedziano: — Ale Żyda...

— Walczył za niepodległość, gdy was jeszcze nie było! — wołał oficer.

— Idź Żydom buty czyścić! — odkrzyknięto.

I przez cały ciąg przemówienia — niezmordowany chór skandował: „Heil Hitler! Heil Hitler!" — wobec sztandarów pułkowych, wobec poduszki z najwyższymi odznaczeniami wojskowymi.

Na twarzach kilkunastutysięcznych tłumów, składających się w dużej większości z Polaków, widziałam wstyd i oburzenie. A mimo to ów niebywały wybryk grupki schowanej za grubym murem i mocnymi drzwiami przeraził mnie.

Rzucali butelki i śmiecie na pogrzeb żydowski. Padały przy sztandarach polskich pułków, przy purpurowej poduszce, na której spoczywały ordery. Między nimi Virtuti, któremu winna jest cześć relikwi na ołtarzu.

Nie tylko dziś — i dawniej była Polska. Na wielu tronach panująca — mocarstwowa. Nie nazywano jej tak, ale tym bardziej była wielkim mocarstwem. Miała zalety i wady. Z zalet te były, że nie narzucając ani narodowości, ani wiary — przyciągała ludy, grupy, jednostki, które stawały się jej najlepszymi synami. A gdy — przez wady — upadła, zachowała jednak swego ducha. Zwano sentymentalizmem, romantyzmem jej duchową rycerskość i kruki nie wróżyły jej żadnych osiągnieć. Chodziły po świecie przysłowia, że „wszystkie drogi do Rzymu prowadzą", że „cel uświęca środki" — jednak w Polsce nad wszystko wyrastała głęboka wiara, że niedozwolone są kompromisy z sumieniem, że jeśli się naród duchowo upodli — zginie.

Umieliśmy szanować cudzy kult — tu młodzież drwi, gdy ktoś, według swych wierzeń, cześć Bogu oddaje. Szanowaliśmy kobiety, starców i dzieci, zgrozą przejmowała nas profanacja świątyń i śmierci. A walczyliśmy twarzą w twarz — nie zza płotu. I z równym i z silniejszym — nie ze słabym i bezbronnym. A przecież odbudowaliśmy Polskę. Czy to ma być droga do jej umocnienia? Od profanacji cudzych kultów — przechodzi się do bezczeszczenia własnych świętości.

Garstka młodzieży wygwizdała pogrzeb Żyda. Nie uszanowała majestatu śmierci. Nie chciała rozumieć długu zaciągniętego wobec człowieka, który walczył pod sztandarem niepodległości po to, by dziś polska młodzież mogła spoglądać z polskiego Domu Akademickiego... na jego ostatnią w wolnej Polsce drogę.

H. ze ZBIROHOWSKICH KOŚCIA-DĄBROWSKA

„Poco tyle świec nade mną?..."

Umarł Bolesław Leśmian.

Odszedł z pośród nas najlotniejszy duch (duszek?) współczesnej poezji polskiej. Duch tak lotny i skrzydlaty, że najlżejsza łupina słowa była dlań ciężarem; więc myśli swe ubierał w półsłowa, półszepty, półcienie, półbarwy... Szukał, aby się wypowiedzieć, słów takich, w których byt styka się z niebytem, widzimisię jest jedyną logiką, człowiek roztapia się w zadumę lasu, w ciszę poza życiem i śmiercią; w ciszę, która nic nie pamięta...

Śmierć nie była dlań niespodzianką. Ileż razy z nią gadał, przekomarzał się, droczył, jak przed podróżą, która nagli, to znów jak przed snem, który zwleka.

Poco tyle świec nade mną, tyle twarzy?
Ciału memu nic już złego się nie zdarzy.

Wszyscy stoją, a ja jeden tylko leżę, —
Żal nieszczery, a umierać trzeba szczerze.

Leżę właśnie, zapatrzony w wieńców liście,
Uroczyście — wiekuiście — osobiście.

Śmierć, co zcichła, znów zaczyna w głowie szumieć,
Lecz rozumiem, że nie trzeba nic rozumieć...

Tak mi ciężko zaznajamiać się z mogiłą,
Tak się nie chce być czymś innym, niż się było!

Tak nie chciało mu się być czym innym, niż był... A jednak niechęć tę sam w sobie przemagał; przezwyciężał ją w walce wewnętrznej, fantastycznej, nadludzkiej, — i z walki tej, z wysiłku tej walki, rodziło się to, co było światem jego poezji. Bo świat Leśmiana zaczynał się właśnie — poza światem.

Zdarzało się, że szedł na schadzkę z dziewczyną i dopiero, gdy wrócił, odgadywał, że spotkanie odbyło się już po tamtej stronie:

Pierwsza schadzka za grobem! Rozwalona brama.
Stąpaj pilnie!... Ucałuj ten po drodze krzak.
Czy to — ty? — Już zmieniona, a jeszcze — ta sama?
Upewnij!... Wzrok mi słabnie... Podaj dłonią znak!

Niema znaków! Oddawna już w nic się rozwiały!
Niema żadnych upewnień! Nikt nie wierzy w nas!...
Znikły śmiechy w ciemnościach i płacze ustały.
W pajęczynie po kątach zagnieździł się — czas...

Zejdź z drogi — cmom i kwiatom!... Postroń się złudzeniom!
Chyba najrzeczywistszy jest ten — siana stóg...
Czemu płaczesz? — Dla ludzi oddanych istnieniom,
Ból nasz — ledwo jest dreszczem księżycowych smug.

Proszę rozróżniać: świat zagrobowy nie jest dla naszego poety dziedziną nicości, zaprzeczeniem bytu, kresem życia. Nie jest też jakimś rzutem wiary religijnej, potrzebą mistyki, nadzieją odwetu i nagrody, splotem lub rozplotem porachunków doczesnych. Ideały etyki lub religii — to nie są kwiaty z ogrodu Leśmiana.

On grób przekraczał, jak przekracza się miedzę zbyt szczupłego łanu. Rwał się w świat inny, bo mu ciasno było tutaj, gdzie my żyjemy. Bóg mu ciążył; dni i noce nużyły go niezmiennym korowodem wieczności, podzielonej na ułamki czasu. On chciał spojrzeć w noc, która nie mija; w dzień, który nie zachodzi. On chciał stwierdzić „możliwość innej jawy, niż jawa istnienia". Wspaniale mówi o tym swemu Bogu w szczytowym swoim poemacie — „Eliasz".

...Chcę iść w tę Innotę,
Chcę być tam, gdzieś nie bywał! Chcę walczyć sam na sam!
Niech czuję, że zwyciężam, lub wiem, że wygasam!
Chcę wzburzoną swobodą przekroczyć mą dolę!
Puść mię tam — w bezbożyznę! Puść — na wolną wolę!
Postroń wszystko, co było! Nie poskąp mi lotu!
Już — z Tobą!... Już — bez Ciebie!... Nie żądaj powrotu!

— — — — — — — — — —

Wolny, Bogu zbyteczny — sam teraz popłynął
Wyżej i niebezpieczniej w ten zmierzch ponadniebny,
Gdzie już nie ma stworzenia i Bóg — niepotrzebny!

Nie prawa boże i nie prawa ludzkie rządzą w światach — zaświatach Leśmiana, w jego „sadach rozstajnych" i na kwitnących cmentarzach, na widmowych łąkach, po tej i po tamtej stronie bytu. Jego umarli nie są umarłymi, więc też i nie tęsknią do zmartwychwstania. Pocóż mieliby wracać w szranki, które zostawili za sobą?

W czas zmartwychwstania boża moc
Trafi na opór nagłych zdarzeń.
Nie wszystko stanie się w tę noc
Według niebieskich wyobrażeń.

Są takie gardła, których zew
Umilkł w mogile bezpowrotnie.
Jest taka krew, przelana krew,
Której nie przelał nikt dwukrotnie.

Jest takie próchno, co już dość
Zaznało zgrozy w swym konaniu!
Jest taka dumna w ziemi kość
Co się sprzeciwi — zmartwychwstaniu!

I cóż, że surma w niebie gra,
By nowym bytem świat odurzyć?
Nie każdy śmiech się zbudzić da!
Nie każda łza się da powtórzyć!

Jeszcze zadzierzyściej, jeszcze czupurniej rzuca Leśmian swą drobną sylwetkę na tło „zagrobowizny" w słynnym wierszu „Trupięgi".

Kiedy nędzarz umiera, a śmierć swoje proso
Sypie mu na przynętę, by w trumnę szedł boso,
Rodzina z swej ofiarnej rozpaczy korzysta,
Bo go obuć na wieczność, bo zbyt jest ciernista, —
I, grosz trwoniąc ostatni dla nóg niedołęgi,
Zdobywa buty z łyka, tak zwane trupięgi.
A gdy go już wystroi w te zbytki żebracze,
Wówczas dopiero widzi, że nędzarz — i płacze!

Ja — poeta, co z nędzy chciałem się wymigać,
Aby śpiewać bez troski i wieczność rozstrzygać,
Gdy mnie w noc okradziono, drwię z ziemskiej mitręgi,
Bo wiem, że tam — w zaświatach mam swoje trupięgi!
Dar kochanki, czy wrogów chytra zapomoga? —
Wszystko jedno! W trupięgach pobiegnę do Boga!
I będę się chełpliwie przechadzał w zaświecie,
Właśnie tam i z powrotem po obłoków grzbiecie,
I raz jeszcze — i nieraz — do trzeciego razu,
Nie szczędząc oczom Boga moich stóp pokazu!
A jeśli Bóg, cudaczną urażony pychą,
Wzgardzi mną, jak nicością, obutą zbyt licho,
Ja — gniewny, nim się duch mój z prochem utożsami,
Będę tupał na Niego tymi trupięgami!

Kto znał Leśmiana, ten nieraz, widząc go, ulegał wrażeniu, że poeta już za życia przechadzał się po „obłoków grzbiecie" i gniewnie o chmury „tupał trupięgami": tyle było w nim czarownej bajki, ale i niesamowitej melancholii głodnego fauna. Leśmian bowiem, w swej drobnej, filigranowej postaci, nosił otchłań drapieżnego głodu. Otchłań głodu i piekło pragnienia. Zdarzyło się razu pewnego, że, idąc w noc majową przez miasto, zauważył dwoje nędzarzy: on był żebrakiem, ona — żebraczką. I oto tych dwoje wydziedziczonych pokochało się nagle. Siedli obok siebie na stopniach kościoła; on ogarnął ją i przycisnął do siebie ramieniem:

Ona mu podawała z wyrazem skupienia
To usta do pieszczoty, to chleb do gryzienia.

I tak, śniąc, przegryzali pod majowym niebem
Na przemian chleb — pieszczotą, a pieszczotę — chlebem.

I dwa głody sycili pod opieką wiosny:
Jeden głód — ten żebraczy, a drugi — miłosny.

Poeta, co ich widział, zgadł, jak żyć potrzeba:
Ma dwa głody, lecz brak mu — dziewczyny i chleba.

Głód żebraczy, głód miłosny — to dwa najpierwotniejsze, najbardziej dojmujące kolce w doli ludzkiego upośledzenia. Brak chleba, brak dziewczyny — to były dla Leśmiana dwa grzechy główne, dwie klątwy losu, dwie groźby, dwa kolce śmiertelne, które jak dwie ostrogi wpijały się w drgające boki jego śmigłego rumaka fantazji i gnały go w nieustanny pościg dzikiej żądzy, nienasyconej nostalgii. Ten głód żebraczy i bosy, aby się nasycić i przyodziać, lękał się, czy starczy dlań przepychów świata. Ta żądza, aby się ukoić, sięgała po „napoje cieniste", po zdroje, leżące poza oceanem życia. Niech oprze mu się przedmiot pożądania, Leśmian natychmiast poruszy wody Acherontu, odwoła się do mroków podziemnych!

Ptaku nocny, coś bywał za świata rubieżą
I widziałeś umarłych, — mów, co czynią? — Leżą.
A co jeszcze? — Wciąż leżą bez przerw, bez wytchnienia.
Niema dla nich ni słońca, ni wiatru, ni cienia!
Nie modlą się, nie płaczą, nie śnią i nie wierzą —
I nic — tylko tak leżą! Nic — tylko tak leżą!

Dziewczyna, co się mojej sprzeciwia przemocy,
Niechaj w łożu obłędnym polegnie tej nocy!
Bezoporna, bezsilna, bezbronna, bezwiedna
Niechaj, grzesząc pragnieniem, leży sama jedna!
Niech nie modli się, nie śni, nie płacze, nie wierzy —
I niech tylko tak leży, — niech dla mnie tak leży!

Czy w tej pogoni za nasyceniem dwu naczelnych żądz zmysłowych — głodu chleba i głodu dziewczyny — nie wyczerpuje się cała pozornie bogata lutnia leśmianowska? Jego pegaz, tak na pozór rozhukany, czy — w gruncie rzeczy — nie dzwoni kopytami najdźwięczniejszych rymów na bardzo ograniczonym szlaku: od kredensu do alkowy i — z powrotem? I czy Leśmian nie dlatego tak wiele żąda od dalekiego, najdalszego świata, że rozpaczliwie mało bierze, i wziąć umie, od bliskiego, najbliższego człowieka, od najdroższych sobie ludzi, od oddanej sobie dziewczyny, od rodzimego środowiska?

Gdy domdlewasz na łożu, całowana przeze mnie,
Chcę cię posiąść na zawsze, lecz daremnie, daremnie!

Już ty właśnie nie moja, już nie widzisz mnie wcale:
Oczy mgłą ci zachodzą, ślepną w szczęściu i szale!

Zapodziewasz się nagle w swoim własnym pomroczu,
Mam twe ciało posłuszne, ale ciało — bez oczu!...

Zapodziewasz się nagle w niewiadomej otchłani,
Gdziem nie bywał, nie śniwał, choć kochałem cię dla niej!...

Oto najpowszedniejsza tragedia Leśmiana: zdobywa kobietę, ma jej miłość, posiadł jej ciało, ale bez żywej obecności — bez oczu. To, co najgłębsze, najosobistsze, co miało być koroną odwzajemnionych uczuć, umknęło z oplotu ramion, utonęło w „niewiadomej otchłani". Czy otchłań ta nie była właśnie ową wielką niewiadomą, ową „Innotą", w której nieukojony, głodny, zawiedziony poeta szukać musiał pokrycia dla stałego niedoboru, wynikającego z jego ubogich stosunków z ludźmi, z jego odosobnienia na fali dziejowej, z nikłej spójni z rytmem zbiorowości? Temu fantaście, który tak łatwo, tak głęboko wchodził w „Mgłę zwierząt i w Tuman wszechrzeczy", społeczność ludzka wydawała się mgłą nie mniej zagadkową, a dramat społeczny tumanem nie mniej nierozwikłanym. O człowieku, zwłaszcza o człowieku, tkwiącym w mechaniźmie zbiorowości, wiedział on, w istocie, tylko tyle, ile wyczytał z praźródeł życia, z oczu tygrysich, z garbu wielbłąda, z mieniących skrzydeł ćmy, z własnych dum samotnych, z obłoków nad ziemią. Chwytał on człowieka w tym stadium, gdy jeszcze nie był on jednostką, gdy jeszcze płynął rozlewną rzeką prażywiołu, był zaledwie tęsknotą do wcielenia się w kształt przeczuwany, i gdy obok snu o ludziach kiełkowały na pniu życia sny o roślinach i zwierzętach. To też, gdy Leśmian mówi o braterstwie, nie zamyka go w kolisku ludzkim. Gdy modli się za istoty bliźnie, obok krwi poległych na wojnie, nie zapomina o ziołach leśnych i wrzosach:

Módlmy się śród drzew
Za zdeptany wrzos, —
Za przelaną krew,
Za zburzony los!

Ta przelana krew ludzka kładziona na równej szali z wrzosem zdeptanym w lesie, to — najszczersza chorągiew poezji Leśmiana. Niektórzy krytycy — wychodząc z założeń społecznych — stawali pełni zgrozy wobec tak lekkiego ważenia krwi ludzkiej i podejrzliwie pytali, czy nie tai się w tym poecie myśl burżuazji, która, aby usprawiedliwić wojnę, pomniejsza wartość jej ofiar. Co za nieporozumienie! Leśmian, wprawdzie, brał z żywego człowieka tylko tyle, ile mógł wziąć z wrzosu leśnego, ale w życie wrzosu kładł tyleż, co w życie człowieka. Cała zresztą burżuazja w jego oczach nie była warta złamanej trawki leśnej. Krótka i bliska wydawała mu się droga, wiodąca od roślin i zwierząt ku ludziom. Ale jakże długa dla niego była ta, która wiodła od człowieka do człowieka!... I od człowieka do społeczeństwa...

I ponieważ tak trudno było mu iść z żywymi, raz po raz wymykał się na schadzki poza grób. Ponieważ tak słabo czuł wzbierający poza sobą dramat napięć społecznych, wybiegał w zaświaty i niecierpliwie tupał przed Bogiem trupięgami. Jak dalece sam czuł swą obcość i swe sieroctwo w dziejach, o tym świadczy okrutny, wstrząsający jasnowidztwem wiersz, godny najtragiczniejszych wyznań liryki wszechświatowej.

Zwoływali się surmą na wrzawę — zabawę,
A jam gadał z mogiłą...
Wszyscy na koń już siedli, by jechać po sławę,
Lecz mnie z nimi nie było.

Sny moje zaniedbane marnieją w dolinie...
Weź pług w dłonie i oraj!
Płynie życie bez jutra, a w ślad za nim płynie
Moje życie — bez wczoraj!

Ponieważ nie dostrzegał ruchu w historii człowieka i nie uczestniczył w jego zbiorowym pochodzie; ponieważ życie miał bez wczoraj i bez jutra; nie znał ewolucji poza tą, która niesie ludzkość na swej fali tak, jak niesie świat roślin i zwierząt, jak niesie słońca i planety, gwiazdy i mgławice, więc aby przemóc ciasnotę, w której wizja taka musiała go więzić i osaczać, marzył o płomiennym wozie Eliasza, jedynym wehikule wolności, któryby go poniósł poza rubieże Boga, skruszył granice między życiem a śmiercią, pozwolił mu wyłamać się z ciemnicy i

...stwierdzić jasnowidztwem ostatniego tchnienia,
Możliwość innej jawy, niż jawa Istnienia!

Przedziwny mistrz wyobraźni, gadający z mogiłami poeta, zasnuty w swą samotność, jak w przędzę, nie dostrzegł w życiu swoim tego, co widzi i rozumie niejeden prostak, zjednoczony myślą ze społeczeństwem: że ów cudowny rydwan Eliasza jest naturalnym tokiem naszych dziejów, które niosą nas w coraz nowe odmiany Istnienia, przesuwają przed nami coraz inne koleje jawy i o wschodzie każdego dnia zwiastują początek nowego świata.

A. Grot.

Z braku miejsca dalszy ciąg

„DOŻYNKÓW WARSZAWSKICH"

W. Rzymowskiego

ukaże się w następnym numerze.

Renesans przywileju

Wielki przewrót społeczny i umysłowy, rozpoczęty jeszcze z końcem wieków średnich, zatriumfował w XIX stuleciu w przodujących krajach Europy i Ameryki. Nie tu miejsce na charakteryzowanie głębokich — znanych zresztą powszechnie — przemian, które w ciągu ery nowożytnej dokonały się w stosunkach między ludźmi. Na przypominanie dobrodziejstw, które zwycięska demokracja przyniosła rodzajowi ludzkiemu, przytłoczonemu dawniej brzemieniem niedoli i ciemnoty. Na podkreślenie zbawiennego wpływu, który humanitarne idee wolności i równości wywarły na rozwój kultury ludzkiej, na **uczłowieczenie człowieka.** Rzeczy te znane są dobrze z historii, która — mimo wszystko — nie da się nagiąć do zamierzeń „nowoczesnych" chwalców średniowiecza i apostołów ciemnoty.

NOWOCZESNY PORZĄDEK PRAWNY.

I z historii wiemy też, że wyrazem nowej, demokratycznej rzeczywistości społeczno-kulturalnej stał się nowy, nie znany w wiekach średnich porządek prawny. W przeciwieństwie do prawa średniowiecznego, którego istotę stanowiła nierówność, sformułowana w **przywileju** — nowy porządek prawny jako naczelną zasadę stosunków między ludźmi postawił **równość** wszystkich wobec prawa. Prawo feodalizmu nie znało **obywatela,** mającego te same, co każdy inny obywatel, prawa i obowiązki. Znało tylko stany i ich członków. Człowiekowi pojedyńczemu przypadały takie prawa i obowiązki, jakie średniowieczny porządek prawny wiązał z przynależnością do danego stanu — a prawo było, jak wiadomo, różne dla różnych stanów. Rzecz jasna, jak w każdym społeczeństwie opartym na różnicach posiadania, tak i w wiekach średnich nierówność prawna wynikała z nierówności ekonomicznej. Tylko z niej mogła przecież wynikać. Ale cechę znamienną ustroju średniowiecznego stanowiło to, że nierówność była w nim ustalona i sformułowana prawnie ludzie różnili się nie tylko posiadaniem, t. j. stosunkiem do środków produkcji — ale i prawami. Obok nierówności **faktycznej,** ekonomicznej, istniejącej i dziś — obowiązywała w wiekach średnich obwieszczona prawnie nierówność **formalna.** Wyrazem jej był **przywilej.** Warstwy górujące ekonomicznie i panujące politycznie były też uprzywilejowane prawnie. Nierówność obejmowała tak samo prawo prywatne, jak publiczne — między którymi zresztą nie było wyraźnego przedziału, przynajmniej w pierwotnym, „czystym" feodalizmie. Nierówność prawna ogarniała całe życie średniowieczne, stosunki kościelne i wojskowe, prawo rzeczowe i szkolnictwo, przenikała ówczesny, mało zresztą rozbudowany, aparat państwowy. Wyraziła się w ideologii społeczeństwa średniowiecznego. Przywilej, t. j. wyłączność prawna jako posiadanie pewnych praw wyjątkowych lub niepodleganie pewnym prawom powszechnym — cechował sytuację prawną kast wyższych. A naodwrót, gnębieni i pokrzywdzeni należeli do warstw nieuprzywilejowanych, niezależnie od tego, czy podstawę ich poniżenia stanowiły momenty społeczne, wyznaniowe, terytorialne lub jakiekolwiek inne. I rzecz ciekawa: pierwsze wyłomy w średniowiecznym systemie przywilejów dokonywały się właśnie przy pomocy takichże samych formalnie przywilejów. Tylko, że ich treść społeczno-historyczna była inna. Nie petryfikowały one nierówności — przeciwnie, krok za krokiem w ciągu wieków kruszyły grube mury, dzielące ludzi na stany i kasty. Pierwsze zwycięstwa gmin miejskich polegały na wywalczeniu przywilejów, uwalniających ludność miejską od panowania feodałów. Tą samą drogą szli w wielu miejscach chłopi. Nawet dla Żydów ulgi, które w ramach porządku feodalnego miały umożliwić im jaki taki mizerny byt w zakresie stosunków prywatno-prawnych — formułowane były przeważnie w formie przywilejów. Wszystkie te wyłomy, będące zresztą wyrazem powolnej, ale nieustającej ewolucji ekonomicznej, wszystkie te przywileje kruszące władztwo przywileju, dały nowym siłom społecznym pewną podstawę wyjściową, z której potem miały one ruszyć do generalnego szturmu przeciw staremu porządkowi.

W WALCE O DEMOKRACJĘ: OBYWATEL, NARÓD, PAŃSTWO.

Szturm ten odbył się pod sztandarem walki z przywilejem. Zburzone zostały przegrody prawne, dzielące ludzi na mniej i więcej uprawnione kategorie: demokracja dopiero stworzyła pojęcie równouprawnionego z innymi obywatela, wyzwolonego z ram stanowych i korporacyjnych, nie korzystającego z żadnych przywilejów prawnych, ani też nie pokrzywdzonego przywilejami innych ludzi. Pozostał tylko przywilej posiadania środków produkcji, któremu jednak demokracja odmawiała jakichkolwiek prerogatyw w dziedzinie prawa publicznego, tym bardziej zaś w sferze stosunków prywatno-prawnych. Burząc średniowieczne przegrody między ludźmi, przemieniając ludzki w wolnych i równych **obywateli,** zwycięska demokracja stworzyła warunki, w których rozwinął się nowoczesny **naród,** zbiorowość nieznana wiekom (choć znano ten termin, kryjący zresztą zupełnie inną treść). Zbiorowość, złożona tylko z obywateli, nie znająca stanów i kast, jest dopiero jednolitym narodem nie tylko obiektywnie, faktycznie, ale i psychicznie; podzielonym tylko materialnie na klasy, ale nie zróżnicowanym prawnie na uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych. Na gruncie demokracji i w walce o demokrację wytworzyła się nowoczesna **idea narodowa,** zupełnie różna od tego, co zwolennicy średniowiecza usiłują dziś przemycać pod tą nazwą. Była to na wewnątrz idea zniesienia wszelkich przegród prawnych między obywatelami, wszelkich przywilejów i nierówności — na zewnątrz zaś idea niepodległości narodowej, daleka od ujarzmiania kogokolwiek. Demokracja zrodziła nowoczesne **państwo narodowe,** oparte na równości wszystkich obywateli — na Zachodzie przymiotnik „national" oznacza zarówno „narodowy", jak i „państwowy". Nie trzeba dodawać, że oba te znaczenia nie mają nic wspólnego z treścią, którą wyznawcy nierówności i przywileju wkładają dziś **w te wyrazy,** lub w ich **połączenie.**

HIERARCHIA ARMII, JAKO ODBICIE SPOŁECZEŃSTWA.

Powstanie nowoczesnej armii, opartej na powszechnym i równym obowiązku (i równym prawie!) służby wojskowej, wiąże się też ze zwycięstwem demokracji. Stworzone przez demokrację zasady organizacji sił zbrojnych zostały przyjęte nawet przez państwa, które w innych dziedzinach życia dalekie jeszcze były od demokracji. Już to samo dowodzi wyższości armii demokratycznej, nowoczesnej, nad armią zbudowaną na przywileju kastowym, czy jakimkolwiek innym. Nie był chyba dziełem przypadku fakt, że w wieku XX klęskę poniosły te armie, w których pierwiastki feodalnego przywileju i wszelakiej nierówności przetrwały aż do ostatnich czasów: rosyjskia, turecka, austro-węgierska i niemiecka). Jeżeli nas ktoś zechce „pognębić" Japonią — odpowiemy, że armia japońska nie miała jeszcze okazji do starcia z naprawda nowoczesną siłą zbrojną: stare Chiny, carska Rosja i jeszcze raz osłabione Chiny, t oza mało na dobre świadectwo). Socjologia nowoczesnej armii jest przecież odbiciem socjologii całego społeczeństwa. Na niej opiera sie układ hierarchiczny współczesnej siły zbrojnej. Nie ma w tym układzie miejsca na żadne **formalnie** ustalone różnice pochodzenia. Hierarchia wojskowa odpowiada **materialnej** hierarchii dzisiejszego społeczeństwa — i żadnej innej. Jeżeli jedynym „przywilejem", na podstawi którego tworzy się w nowoczesnej armii korpus oficerski, jest cenzus wykształcenia **średniego,** to znaczy, że **społecznie** dolna granica korpusu oficerskiego jest identyczna z dolną granicą tej części inteligencji pracującej, która posiada maturę. Stan taki odpowiada funkcji, jaką w ramach dzisiejszego społeczeństwa demokratycznego pełni w ogóle inteligencja i pod tym względem armia nowoczesna nie odbiega od opartego wyłącznie na **materialnych** różnicach układu społecznego. Nie ma tu żadnego przywileju o charakterze feodalno-kastowym, wyznaniowym czy jakimkolwiek innym. Podobnie kadry podoficerskie rekrutują się w nowoczesnej armii z obywateli, od których wymaga się **jedynie** wykształcenia w zakresie szkoły powszechnej, zależnego w dzisiejszych warunkach od sytuacji materialnej. I tu nie ma miejsca na żaden przywilej, sprzeczny z ogólnym układem społecznym. Wymagany od kandydata na podoficera cenzus odpowiada pozycji, jaką w społeczeństwie teraźniejszym zajmują warstwy drobnomieszczańskie (poza inteligencją cenzusową), górne warstwy włościańskie i najwyżej kwalifikowane odłamy klasy robotniczej.

Układ hierarchiczny nowoczesnej armii jest odbiciem dzisiejszego społeczeństwa, znającego nierówność materialną i wynikającą z niej nierówność wykształcenia, ale odrzucającego wszelkie przywileje **prawne.** Dlatego przekrój pionowy armii jest identyczny z takimże przekrojem społeczeństwa. Inaczej być nie może. Jeżeli kawaleria we wszystkich armiach wykazuje najwyższy odsetek oficerów pochodzenia ziemiańskiego i arystokratycznego, to jednak źródło tego zjawiska leży nie w jakimś przywileju a wyłącznie w sferze stosunków materialnych i obyczajowych. Bo już sam fakt wyodrębnienia żołnierzy z herbem od innych stwarzałby w armii przegrodę między wyróżnionymi a resztą, która z natury rzeczy czułaby się, jak za dawnych czasów, nierównoprawnym „pospólstwem" — warstwą „sine nobilitate".

Dok. nastąpi. *MICHAŁ JORDAN*

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

MARIA KALERGIS

Tak popularne ostatnio powieści biograficzne mają swój ściśle określony cel społeczny. Powinny przynosić czytelnikowi to, czego nie może się spodziewać po suchych monografiach i ściśle historycznych, naukowych opracowaniach — a mianowicie: *artystyczne* spojrzenie na człowieka i jego epokę. Książka pani Czekańskiej-Heymanowej *) nie spełnia tego zadania a przynajmniej nie spełnia go całkowicie. Nieporozumienie pomiędzy książką a czytelnikiem zaczyna się na samym początku książki. Jasne jest bowiem, że życie pani Kalergis może interesować nas tylko o tyle, o ile da nam odpowiedź na pytania: kim była p. Kalergis dla Norwida? Jakim czarem piękności czy inteligencji zdołała zdobyć serce wielkiego poety? Dlaczego dzieje miłości Norwida miały ten, a nie inny przebieg?

Tymczasem, wśród wielu bladych postaci, zapełniających karty tej sporej książki, Norwid jest postacią najbardziej marginesową. I cóż nam po bardzo zresztą barwnym opisie życia pięknej i bogatej kobiety, skoro to życie nie jest nam podane w kontekście z uczuciem, które, choć nieodwzajemnione, wyodrębnia jednak w naszych oczach Marię Kalergis spośród innych „lwic" salonów europejskich w połowie dziewiętnastego stulecia?

Maria Kalergis, jeżeli wierzyć opisowi pani Czekańskiej-Heymanowej, nie była warta uczucia Norwida. To było by zresztą w porządku. Poetom wolno kochać kobiety niewarte ich miłości. Ale autorka Marii Kalergis odnosi się do swojej bohaterki z całkowitą sympatią i trudno zrozumieć czy chodzi jej o jakąś inną Marię Kalergis, która pozostała w sferze jej wizyj artystycznych, czy też istotnie uważa, że przepis na wartości duchowe kobiety kochanej przez ludzi wielkich powinien brzmieć: snobizm „artystyczny", płytka religijność, powierzchowny światopogląd i wiele ogłady towarzyskiej.

Pani Czekańska-Heymanowa rozporządza stylem opanowanym i, niekiedy, pełnym wyrazu artystycznego. Niektóre tylko, bardzo nieliczne postacie, zarysowane są mocno i jędrnie (Jan Kalergis).

CZEGO CHCE TEN JAŚ KUNEFAŁ?

Nieciekawa książka. Debiut powieściowy Stanisława Piętaka **) wskazuje, iż rzetelny i prawdziwy poeta może być słabym i bezbarwnym prozaikiem. Poza brakiem większych walorów literackich, „Młodość Jasia Kunefała" odznacza się jeszcze reakcyjnością, ukrytą wstydliwie za parawanem „społecznej" tematyki, wątpliwej wartości uniesień mistycznych i t. zw. „rozterki wewnętrznej" bohatera powieści. Wstawki senne, wplecione w najdziwniejszych miejscach, doskonale ilustrują ową siódmą wodę po teorii Freuda, którą z takim zamiłowaniem posługuje się nasza inteligencja. *P.*

---

*) *Róża Czekańska-Heymanowa:* Maria Kalergis. Warszawa 1937. F. Hoesik.

**) *Stanisław Piętak:* „Młodość Jasia Kunefała", powieść Warszawa 1937. F. Hoesik.

Tegoroczny dzień 11 listopada — święto Niepodległości — stał się potężnym wyrazem jednolitej woli i siły Narodu. W wielkiej defiladzie wojskowej, która w stolicy odbyła się przed Wodzem Naczelnym, poza oddziałami wojskowymi wszystkich oddziałów broni wzięły udział także wielotysięczne zastępy młodzieży. W pochodzie tej młodzieży, obok korporacji studenckich maszerowały delegacje socjalistyczne i ludowe, stwierdzając tym zgodnym marszem, że tam, gdzie chodzi o bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, znikają między obywatelami wewnętrzne linie podziału. Od udziału w rewii powstrzymali się tylko endecy, ale to nie powinno nikogo dziwić. Endecy zawsze, gdy maszeruje naród polski, pozostają na boku lub w tyle, wierni tradycji warcholstwa.

Nowy sezon w Teatrze

Narodowy: „Wilki w nocy" Rittnera. Nowy: „Skiz" Zapolskiej. Letni: „Ormianin z Beyrutu" Grzymały-Siedleckiego. Kameralny: „Współczesne" Gojawiczyńskiej. Ateneum: „Ożenek" Gogola.

Nowy sezon zaczął się pod oznakiem polskich pisarzy. wynikło to z prądów, które się wytworzyły z końcem ubiegłego sezonu pod wpływem szerokiej akcji prasy. Z wyjątkiem Jaracza, który ciągle jeszcze zdecydowanie stroni od polskich sztuk, wszystkie teatry albo wystawiły, albo zapowiadają premiery rodzime.

Zaczął ten korowód, jak się godziło, teatr Narodowy mistrzem techniki scenicznej: Rittnerem. Pisarzowi temu dotrzymuje kroku Zapolska, świadoma środków scenicznych, wyzyskująca je w sposób niesłychanie swobodny i do dna. „Skiz" mało ma w sobie z ogólnego charakteru twórczości Zapolskiej, ale pod względem technicznym staje w rzędzie innych utworów, a może je nawet przewyższa.

Wobec tej pary zmarłych, świetnych pisarzy staje twórczość współczesna, uboga i mała. Nawet Siedlecki, po raz dziesiąty biorący się ze sceną za bary — nawet ten przedstawiciel okresu świetności naszego scenopisarstwa — zawodzi. Pogmatwawszy w swoim „Ormianinie z Beyrutu" intrygę w sposób zręczny i barwny, nie sprostał jednak zadaniu, które sam sobie postawił. Intryga rozwiązuje się w sposób deus ex machina, a wiele wątkow, tworzących wielopłaszczyznowość akcji przyczynia się raczej do jej zubożenia, do jej spłycenia, kiedy ich wprowadzenie nie zostaje ani uzasadnione, ani wyzyskane.

A już rozpaczliwa wprost jest technika Gojawiczyńskiej. Dobre chęci dyrektora Adwentowicza wyświadczyły niedźwiedzią przysługę jednej z najbardziej utalentowanych pisarek. Wystawiony utwór dyskredytuje jej firmę, a zgoda na jego wystawienie — jej samokrytycyzm. Środki przestarzałe i martwe, przypominające niekiedy stare melodramaty kinowe, posunięcia aż jaskrawe w swojej naiwności — budzą niesmak i żal, że tak oto zaprezentował się oczekiwany debiut sceniczny subtelnej autorki „Ziemi Elżbiety".

Jeślibyśmy jednak abstrahowali od strony technicznej i od artystycznej wartości utworów, gdybyśmy podeszli do bieżącego repertuaru od strony jego zawartości etycznej i społecznej, na pierwszym miejscu musielibyśmy postawić właśnie Gojawiczyńską. To prawda, że obława na dziewczęta, pokazana za pomocą hałasu i niepokoju — to stary motyw Zapolskiej, wyzyskany niestety po staremu, bez odnowienia i bez zindywidualizowania. To prawda, że rozmowa o domach na górze i domach na dole, marzenie architekta, utrudniające mu, czy uniemożliwiające nawet jego szczęście osobiste — to zeszpecony, to niemożliwie zniekształcony motyw Żeromskiego. Ale nieudanie się zamierzeń nie przekreśla samego zamierzenia. Tylko sztuka Gojawiczyńskiej z pośród wszystkich, przedstawionych nam teraz sztuk, sięga do naszej rzeczywistości i stara się o oddanie jej barwy. I tylko utwór Gojawiczyńskiej ukazuje nam poza rozgrywającymi się na scenie faktami ich perspektywę społeczną. I to prawda, że utwór tak nikły, zabarwia jednak ogólną szarość atmosfery teatralnej.

Wielce zaś charakterystyczną dla tej atmosfery rzeczą jest wybranie „Skiza" z pośród wielkiej liczby utworów Zapolskiej. „Skiz" jest nie tyle z tych utworów najsłabszy — jak to uważano za jego czasów — ile raczej najbledszy. To, co stanowi znamię Zapolskiej: ironia, wgryzająca się w uświęcone podstawy bytu, bunt przeciw bezsensowności wielu z uznanych form — ścicha tu do uśmiechu pobłażliwości.

Jest rzeczą niezrozumiałą i ciekawą, dlaczego komunikaty teatru Nowego tak mocno podkreśliły fakt, że „Skiz" jest najsłabszą sztuką wielkiej pisarki, podobnie jak to zrobił teatr Letni z „Przyjaciółmi" Fredry. Ta dziwna reklama mogłaby naprowadzić na myśl, że słabość tych utworów zadecydowała o ich wyborze. Myśl absurdalna. Inny natomiast powód nasuwa się bywalcowi teatru Nowego i ten wygląda bardzo prawdopodobnie: sentymentalność i pastelowość, miłość jako temat nie urozmaicający utwór, ale w nim jedyny — oto cechy charakterystyczne „Skiza"; cechy te predystynują go dla sceny, na której został pokazany. Przytoczony powód znajduje uzasadnienie w licznych tego teatru komunikatach, wysuwających zawsze motyw miłości, jako charakterystyczny dla wystawianych utworów.

Komunikaty te przypominają reklamy wielu filmów z ich nieodzownym atrybutem „miłości i poświęcenia". Ambicja teatru Nowego jest mniejsza .Rezygnuje z motywu poświęcenia, wystarczy mu łatkotliwa reklama: walko o miłość, prawo do miłości, miłość wolnej kobiety itd. itd. — jako dostateczny wabik dla tej publiczki, o którą mu chodzi.

Teatr japoński — jak to nam przedstawia artykuł w „Wiadomościach literackich" — wzrósł materialnie dzięki graniu na zmysłach widzów, ale kiedy ten sposób został przez władze zakazany, kierownicy teatrów osiągnęli ten sam cel, podnosząc poziom wystawianych sztuk. Ten przykład, praktyczny i prawdziwy, powinienby się stać punktem wyjścia dla pracy nad naszym teatrem, uzdrawiając jego atmosferę i uwalniając go od nalotu krzykliwej tandety.

MARCELINA GRABOWSKA

Kalendarz „sławy" endeckiej

Jest rzeczą dziś ze wszechmiar wskazaną wyświetlać polityczny i moralny rodowód endecji. W świetle dokumentów niedawnej przeszłości najwyraźniej występują tytuły endecji do orędownictwa narodu i do mianowania siebie strażniczką jego godności.

Dn. 10 maja 1915 r. prezes Komitetu Narodowego, Z. Wielopolski, wystosował do wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, ks. Engałyczewa (gen. gubernatora warszawskiego) i Goremykina (ówczesnego premiera) pismo, które jednocześnie zakomunikowane zostało carowi. Powołując się w tym piśmie na odezwę sierpniową w. księcia (Zjednoczenie Polski pod berłem carów), w słowach entuzjastycznych, prezes Wielopolski proponował rozwinięcie tej odezwy w 6 punktach ogólnych. Punkty te miały dotyczyć: prawodawstwa miejscowego, języka polskiego, szkół, urzędu namiestnika, dopuszczania Polaków do urzędów, ulg dla kościoła katolickiego.

W osobnym piśmie do Goremykina z dn. 11 maja prezes Kom. Nar. prosił o wezwanie przedstawicieli i ekspertów polskich do opracowywania zamierzonych reform dla Królestwa Polskiego.

Po klęsce armii rosyjskiej pod Gorlicami, Goremykin za zgodą cara zwołał naradę celem „umożliwienia przedstawicielom ludności polskiej Król. Pol. wyrażenia swych pragnień względem przyszłego ustroju kraju polskiego". Narada odbyła się w Petersburgu dn. 3 czerwca 1915 r. pod przewodnictwem Goremykina, przy udziale Makłakowa, Engałyczewa i min. oświaty Ignatiewa, oraz 7 Polaków: Dmowskiego, Dobieckiego, Dymszy, Wł. Grabskiego, Harusewicza, Szebeki i Z. Wielopolskiego.

Szebeko, wysławiając historyczną doniosłość odezwy wielkoksiążęcej, którą tylko „wrogowie Rosji usiłowali przed-

stawić jako manewr polityczno-strategiczny", i wskazując płynące z niej reformy, niepytany podniósł samorzutnie arcydrażliwą kwestię: „Czy zamierzone reformy zadowolą naród polski i czy w przyszłości nie będzie on dążył do pełnej politycznej samodzielności?", oraz złożył uroczyste zapewnienie, że mowy o tym być nie może. Sam bowiem przekonał się tymi dniami podczas wycieczki do zdobytego Lwowa, że „austriaccy Polacy", obdarzeni szeroką autonomią krajową, pomimo niemieckiego charakteru dynastii i niepomyślnych warunków ekonomicznych, wiernie służą Habsburgom i ich państwowości. Tym bardziej więc *a fortiori* w „przyszłej Polsce, zjednoczonej pod berłem cara rosyjskiego, łączność Polski z państwowością rosyjską będzie o wiele silniejszą dzięki związkom plemiennego pokrewieństwa i sprzyjającym warunkom gospodarczym".

Dmowski, podnosząc śmiertelną dla Polski groźbę germanizacji, wobec której „jedyne zbawienie Polaków spoczywa w potędze Rosji („jedinstwiennoje spasienie poliakow w moguszczestwie Rossii"), wykazywał konieczność szerokiej autonomii, jako niezbędnego warunku, aby Polska spełnić mogła historyczny obowiązek wobec siebie „Rosji i całej słowiańszczyzny".

Inni Polacy popierali wnioski Wielopolskiego. Rosjanie, prócz wstępnych słów Goremykina, nie zabierali wcale głosu, ograniczając się do podpisania protokółu (Makłakow nawet nie podpisał). Na sesji 5 lipca 1915 r. Bagaliej (profesor uniwersytetu w Charkowie i prezydent miasta) podniósł z uznaniem zapewnienia Szebeki co do wieczystego, nie tylko mechanicznego, lecz i duchowego zjednoczenia Polski z państwowością rosyjską.

Dmowski oświadczył, że *„obecnie Polacy posiedli pełną świadomość nierozdzielności Polski i Rosji"*. Dowodził, że z chwilą, kiedy Rosja przez zdobycie Konstantynopola zabezpieczy swoją pozycję na południu, kolejnym zadaniem jej polityki będzie przeciwstawić całą słowiańszczyznę dalekosiężnym dążeniom Niemiec.

Na sesji dn. 8 lipca 1915 r. ks. Światopełk-Mirski w imieniu rosyjskich przedstawicieli oświadczył, że Polacy tylko stopniowo otrzymywać mogą prawa w granicach autonomii. „Niech naprzód Polacy dowiodą, że ich zbliżenie i pogodzenie się z Rosją jest trwałe i nieodwracalne. Powstaje także obawa, czy Polacy mają dość zmysłu i przygotowania do rządzenia; przecież za czasów swego niepodległego bytu Polska nie potrafiła zbudować trwałej państwowości... Dlatego z początku, oprócz polskiej szkoły, przyznać można Polakom jedynie samorząd miejski i ziemski, ale i to odnosi się do ludności polskiej w granicach obecnego Król. Polskiego... Pozostałe dzielnice przyszłej Polski zjednoczonej nie mogą być brane w rachubę, ponieważ pruscy Polacy stanowią znikomą część, zaledwie około 15% całej ludności Polski etnograficznej, austriaccy zaś Polacy pozostaną w cieniu, na pewno bowiem przez długi czas żywić będą nieprzyjazne uczucia dla Rosji, gdyż stracą w zjednoczonej Polsce wpływy przeważające, którymi rozporządzają obecnie w Galicji". „Łącznie z rozstrzygnięciem kwestii polskiej w granicach Polski etnograficznej powinna być rozwiązana kwestia polska w Rosji Zachodniej".

Polacy powinni za dobrodziejstwa rosyjskie „wyrzec się tam nie tylko pretensji historycznych, ale narodowo-kulturalnych, a Polacy tamtejsi powinni stać się wiernymi, nieobłudnymi wyznawcami państwowości rosyjskiej".

Na to Dmowski odpowiedział: „Szczerość, z jaką ks. P. N. Światopełk-Mirski wypowiedział swoje poglądy, można tylko powitać z uznaniem. Im jaśniej oświetlona zostanie kwestia polsko-rosyjska, tym łatwiej znajdą się sposoby pokojowego jej rozwiązania... Co zaś do południowo- i północno-zachodniego kraju, to godzi się zauważyć, że obecnie wskutek rozwoju kulturalnego w XIX wieku mas ludowych, sprawę oblicza narodowego w danym kraju rozstrzyga nie język zamożnej i wykształconej mniejszości, ale język mas ludowych. I dlatego Polacy, którzy jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego stulecia zaliczali Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę do ziem polskich, a na Śląsk patrzeli jako na ziemie niemieckie, obecnie, przeciwnie — Śląsk uważają za ziemię polską, ziem natomiast ruskich i litewskich do polskich nie zaliczają. Nie proponujemy więc włączenia tych ziem do granic Polski. Jeżeli można w społeczeństwie polskim spotkać ludzi, którzy inaczej tę kwestię stawiają, to jednak nie wolno na tej podstawie tworzyć teorii o stosunku do tej rzeczy całego społeczeństwa polskiego. Mówiąc o Polsce, Polacy obecnie rozumieją ją jako Polskę etnograficzną"...

Na sesji dn. 12 lipca 1915 r. odpowiadając na wątpliwości prof. Bagalieja co do trwałej lojalności Polaków względem Rosji, wobec niewygaśnięcia dążeń niepodległościowych w społeczeństwie polskim, — Szebeko stwierdził: „Mocna Polska będzie siłą przyciągającą dla całej zachodniej słowiańszczyzny, która widząc rozkwit Polski pod władztwem rosyjskim, dążyć będzie do zjednoczenia się z nim. *Co zaś się tyczy niebezpieczeństwa odpadnięcia Polski, to obecnie śmiało twierdzić można, że niebezpieczeństwo to zczezło raz na zawsze*".

W świetle tych protokółów historycznych widać raz jeszcze, jak bardzo uprawniony tytuł posiada obóz niewiadomszczyzny, wywodzący się bezpośrednio z obozu zjednoczenia Polski pod berłem carów rosyjskich, do sięgania po władzę w Rzeczypospolitej, a zwłaszcza do rozdawania patentów na patriotyzm.

Wydarzenia i dokumenty

FASZYZM ZA ATLANTYKIEM.

Trójkąt Berlin — Rzym — Tokio może zanotować nowy sukces swojej polityki systematycznego okrążania państw demokratycznych. Brazylia znalazła się w orbicie bezpośrednich wpływów wojennego bloku mocarstw faszystowskich. Podpalacze świata usadowili się z kolei na kontynencie amerykańskim, znajdując w osobie prezydenta - dyktatora Vargasa powolne narzędzie szachowania demokracji. Bo faszystowski zamach stanu w Rio de Janeiro i włączenie Brazylii do wojennego sojuszu międzynarodowej reakcji przybliża grozę wojny światowej, zupełnie jawnie przygotowywanej przez faszyzm: świętej wojny przeciw demokracji i wolności ludów. Podbój Abisynii, najazd na Hiszpanię i Chiny, osaczanie Czechosłowacji, przewrót faszystowski w Grecji, machinacje agentów hitlerowskich w Rumunii i Jugosławii, dywersje faszystowskie we Francji i w Belgii, podziemna robota agentów włoskich w Marokku i w Palestynie — to ogniwa jednego łańcucha wojennej polityki faszyzmu, który z niezmordowaną energią, krok za krokiem buduje i umacnia swe bazy wypadowe, by w stosownej, niedalekiej już chwili runąć ze wszystkich stron na spoczywających w błogim optymizmie kraje demokratyczne. Brazylia stała się w tej chwili kolejnym ogniwem tego łańcucha przemocy i wymuszania. Zagrożona jest cała Ameryka południowa, gdzie od dłuższego już czasu w różnych mniejszych i większych republikach agenci faszyzmu zagranicznego organizują i finansują ruchy reakcyjne. W szczególności Brazylia była terenem, na którym działały jednocześnie ekspozytury hitlerowskie („integraliści") i japońskie; te ostat-

nie poprzez liczną imigrację, komenderowaną bezpośrednio z Tokio. Z tej strony uzurpator Vargas znalazł decydujące poparcie dla swej zdradzieckiej, zagrażającej niepodległości kraju, polityki. Jednocześnie z przewrotem politycznym przyszło ekonomiczne i finansowe uderzenie w kraje demokratyczne: zawieszenie wszelkich wypłat zagranicznych, zarówno rat, jak i odsetków. Natomiast dyktatura brazylijska ma otworzyć drogę penetracji gospodarczej faszyzmu, w pierwszym rzędzie Niemiec i Japonii.

Przez opanowanie Brazylii trójkąt faszystowski pragnie też sparaliżować Stany Zjednoczone, związać ich siły na kontynencie amerykańskim, żeby w ten sposób uniemożliwić im energiczniejsze wystąpienie przeciw japońskiej napaści na Chiny, w razie powodzenia grożącej wyrugowaniem wpływów amerykańskich z Azji Wschodniej (po Chinach mogła by przyjść kolej na Filipiny). W ogóle przewrót brazylijski najpoważniej naraził na szwank interesy Stanów Zjednoczonych, zaangażowanych w gospodarce brazylijskiej i tradycyjnie przeciwnych penetracji zamorskiej na kontynencie amerykańskim. Z tej strony też nowe uderzenie faszyzmu spotka się niewątpliwie z najenergiczniejszą kontrakcją. Ostatnie wystąpienia waszyngtońskich mężów stanu z prez. Rooseveltem na czele przeciw faszyzmowi miały przecież swe źródło nie tylko w japońskiej agresji na Dalekim Wschodzie, ale i w kreciej robocie faszyzmu na terenie Brazylii, co w Stanach Zjedn. oddawna obserwowano z niepokojem. Zdaje się, że trójkąt wojenny Berlin — Rzym — Tokio nie może jednak liczyć na chwiejność i ustępliwość Waszyngtonu — tak, jak korzysta z polityki Londynu i Paryża, które łudzą się, iż głaskaniem bestii można ją ułagodzić a koncesjami zmniejszyć jej zachłanność.

W DŻUNGLI PRASY NIEMIECKIEJ

Dzienniki niemieckie cytują rewelacyjny pogląd rzecznika wojny totalnej i neo - pogaństwa, generała Ludendorffa o pochodzeniu narodu angielskiego.

„Imię narodu angielskiego wywodzi się od Izaka. Stąd pochodzi nazwa Saksonów: Izakson — syn Izaka, przytem I odpada, podobnie jak w słowie Istambuł — Stambuł. Stary Testament mówi: „potomstwo twoje posiądzie wrota wroga". Dlatego Anglia posiada Gibraltar, Kanał Suezki, Aden, Hong-Kong i inne porty krajów i mórz".

...Prasa niemiecka z radością i satysfakcją donosi o nowym kroku, uczynionym przez władze dla umocnienia dzieła „samoobrony narodu niemieckiego". Owym krokiem jest otwarcie w Turyngii nowego obozu koncentracyjnego, obliczonego *na osiem tysięcy więźniów*. Przy budowie nowego obozu zatrudniono kilkuset więźniów z innego obozu koncentracyjnego, w Lichtenburg. Osławiony obóz w Dachau będzie odtąd wyłącznie przeznaczony dla więźniów Żydów. W ten sposób paragraf aryjski obejmie również więziennictwo polityczne.

...W organie Goeringa „Nazional Zeitung", wychodzącym w Essen, pojawiły się niedawno osobliwe wywody, z których cytujemy wyjątki:

„Z zapałem i entuzjazmem godnym lepszej sprawy czynione są obecnie, w dwudziestym wieku, w sercu Europy — próby wzniesienia chińskich murów. Żelazobetonowe zagrody wzniesione zostały pomiędzy państwami europejskimi. Poco? Tu i tam żyją Niemcy, żyją europejczycy. To jest obłęd, lecz w tym obłędzie jest metoda".

Czyżby pokutnicze uświadomienie sobie własnych win? Czyżby nagła tęsknota za pacyfizmem? W organie ministra Goeringa? Bynajmniej! Artykuł „Nazional Zeitung" jest jedynie skargą na.. Czechosłowację, która niepotrzebnie „odgradza się" od Trzeciej Rzeszy.

PODZIEMNE ZBIORNIKI WOJENNE.

Tygodnik paryski „Vendemiaire" ogłosił niedawno sensacyjny dokument, świadectwo wzbierającej w Trzeciej Rzeszy fali nastrojów przeciwhitlerowskich. Waga ogłoszonego dokumentu była tym cenniejsza, iż autorami jego, którzy zdecydowanie opowiedzieli się przeciwko obecnej metodzie rządów, są wyżsi oficerowie armii niemieckiej. W nielegalnie kolportowanej na terenie Niemiec broszurze, zatytułowanej „Vom Spanischen Krieg zum Weltkrieg", udowodniają owi kompetentni rzecznicy militarnych interesów Rzeszy, iż Hitler pcha Niemcy w odmęt zgubnej katastrofy, uwikławszy się w wojnę z Hiszpanią.

W ostatnim numerze „Vendemiaire" czytamy o osobliwych echach, jakie na terenie Rzeszy wywołało ogłoszenie rewelacyjnego dokumentu. Oto Roland Strunck, naczelny redaktor „Völkischer Beobachter" zginął w pojedynku, a okoliczności tej śmierci są nader osobliwe. Roland Strunck od pewnego czasu podejrzewany był o przynależność do tajnej grupy politycznej, która w polityce zagranicznej kanclerza Hitlera upatrywała wielkie niebezpieczeństwa dla Niemiec. Ogłoszenie tekstu nielegalnej broszury w Paryżu postawiło na nogi całą tajną policję Gestapo, a dr. Goebbels oświadczył, że autorem, czy jednym z autorów antyhitlerowskiej enuncjacji jest Roland Strunck i on też był inicjatorem opublikowania jej we Francji. Los nieszczęsnego dziennikarza został przesądzony. Ze zrozumiałych jednak względów należało zataić polityczny mord i upozorowano go śmiertelnym pojedynkiem, którego wynik zgóry był przesądzony.

„Vendemiaire" ogłasza zarazem dalszy ciąg dokumentów z życia politycznego Niemiec. Tym razem chodzi o szczegóły sprawy niezmiernej doniosłości, a mianowicie pogotowia wojennego, w jakim od dłuższego już czasu trwa Trzecia Rzesza.

Jednym z ważnych problemów na wypadek wojny jest dla Niemiec zaopatrzenie w benzynę. Prace laboratoryjne, zakrojone na gigantyczną skalę, a zmierzające do wytworzenia syntetycznej benzyny, dały jak dotąd wyniki nader mierne wobec olbrzymiego zapotrzebowania dla samolotów, tanków, samochodów, ciężarówek i innych maszyn wojennych. Na wypadek wojny Niemcy zamierzają jaknajrychlej położyć zaborczą dłoń na rumuńskich terenach kopalnianych i — być może — sięgnąć do źródeł Kaukazu. Gdyby ta zamierzona akcja w dwóch kierunkach powiodła się, problem benzyny przestałby dręczyć Trzecią Rzeszę. Jednak konieczność przezwyciężenia oporu armii rumuńskiej i sowieckiej czynią ów pożądany sukces nader problematycznym. Trzecia Rzesza szuka tedy innego wyjścia i narazie widzi je w zakrojonym na wielką skalę planie zmagazynowania olbrzymich zapasów benzyny.

Tysiące pracowników, zwerbowanych spośród najpewniejszych elementów i najbardziej oddanych reżimowi, zatrudnionych zostało przy budowie składów podziemnych benzyny i oliwy, pozostających pod wyłączną kontrolą władz wojskowych. Dwadzieścia innych składów gotowych ma być przed piętnastym stycznia przyszłego roku. „Vendemiaire" jest zdania, że data owa nie będzie bez znaczenia w politycznym kalendarzu Europy.

Oficer tajnego wywiadu amerykańskiego, od trzech lat będący na urlopie, z własnej inicjatywy zainteresował się sprawą magazynowania benzyny dla celów wojennych i zdołał — mimo znacznych przeszkód i trudności — dotrzeć do czterech rezerwuarów podziemnych, a mianowicie: w Loewenberg nad Łabą, w Muenchberg o osiemnaście kilometrów od Monachium, w Neuburg nad Dunajem i w Hizacker w pobliżu Harburga. Loewenberg posiada dwadzieścia cztery cystern benzyny i trzydzieści pięć cystern oliwy. Muenchberg — 20 cystern benzyny i 24 cystern oliwy. Każda z cystern benzynowych ma pojemności milion litrów.

Nowe składy podziemne znajdują się w trakcie budowy w Ravensburg, pomiędzy Izerą i Naah, w Bawarii i nad Odrą. *Po ukończeniu wszystkich rezerwuarów Trzecia Rzesza będzie w posiadaniu półtora miliarda litrów benzyny.*

DZIAŁANIE PRZECIWTRUCIZNY

Rząd St. Zj. Amer. Pół. dał do zrozumienia rządowi Wielkiej Brytanii, że przyjazd b. króla Edwarda VIII do Ameryki jest niepożądany. Niepożądany przede wszystkim dlatego, że członek panującego domu może się narazić na wrogie demonstracje ze strony ludności.

Co stało się przyczyną tak daleko posuniętej niepopularności księstwa Windsor, emocjonujących do niedawna cały kraj Yankesów? Co mogło nagle zagłuszyć głód sensacji, zawsze tam cenionej i pożądanej? Czy może względy purytańskiej moralności, strzeżonej zwycięsko przez surowych pastorów, w imię powagi i niewzruszalności kościoła anglikańskiego, który potępił małżeństwo b. króla? Czy też może nieubłagana awersja republikanów do blasków monarchii?

Nie. Przyczyną niechęci — według prasy codziennej — i wrogich wprost nastrojów wobec księcia Windsor stała się jego niedawna gościna na dworze Hitlera. Wizyta w Berlinie zamknęła mu wstęp do wolnej Ameryki. Splendor królewskiej korony zgasł w uściskach hitlerowskiej swastyki.

ZAWIADOMIENIE

Komisja obrana przez pierwszy zjazd byłych członków Polskiej Partii Socjalistycznej „Proletariat" w dniu 25 lipca r. b. zwraca się niniejszym do wszystkich byłych członków III-go „Proletariatu" (okres 1902 — 1908) o nadsyłanie materiałów, dotyczących działalności tej organizacji zarówno w postaci osobistych wspomnień, jak i dokumentów. Materiały przesyłać należy pod adresem Stowarzyszenia b. więźniów politycznych Senatorska 36 z zaznaczeniem: dla Komisji „Proletariatu".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Witold Gombrowicz: Ferdydurke. Powieść. Tow. Wyd. „Rój".

Romana Dalborowa: Pedikurzystka z zasadami. Tow. Wyd. „Rój".

Gustawa Jarecka: Ludzie i sztandary. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Grey Owl: Pielgrzymi Puszczy. Słowo wstępne Arkadego Fiedlera. Przekład A. Dobrota. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Marika Stiernstedt: Cztery buławy. Powszechna Spółka Wydawn. „Płomień".

Edward Kozikowski: Pięciokłos. Poezje zebrane. Nakładem Księgarni Wł. Michalaka i Sp.

Herman Kesten: Ferdynand i Izabela (Ojcowie i dzieci). Tom I, z upoważnienia autora przełożyła *Melania Wasermanówna.* Warszawa 1938. Instytut Wydawniczy „Lektura".

M. J.: O nową ordynację wyborczą. Warszawa 1937. Nakładem Drukarni Rolniczej, ul. Złota Nr. 24.

Marika Stiernstedt: Cztery buławy. Powieść. Autoryzowany przekład *Karoliny Beylin.* Warszawa 1938. Powszechna Sp. Wydawnicza „Płomień".

Valerin Marcu: Machiavelli. Szkoła władzy. Przełożył *Marceli Tarnowski.* Wraszawa 1938. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień".

Benedykt Hertz: Żydowska krew. Warszawa 1937. Ludwik Fiszer.

Antoni Kasprowicz: Chwasty płonące. Poezje. Łódź 1937. Skł. Głów. „Dom Książki Polskiej" w Warszawie.

Kazimierz Andrzej Jaworski: W połowie drogi. Poezje. Biblioteka Kameny. 1937.

Władysław Gacki: Kobiety i miłość w twórczości Stefana Żeromskiego. Warszawa. Skł. Głów. w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Ukazał się zeszyt 15 (Tom III/5) *Polskiego Słownika Biograficznego,* wychodzącego nakładem Polskiej Akademii Umiejętności. Zeszyt 15 obejmuje biografie od Chodźki Jana do Chwalczewskiego Franciszka. Kraków 1937. Prenumerata wynosi rocznie zł. 25 za 5 zeszytów, stanowiących jeden tom. Adres: Biuro Wydawnictw Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków, ul. Sławkowska Nr. 17.

OD WYDAWNICTWA

Abonentów, którzy zalegają z opłatą prenumeraty za kwartał bieżący, prosimy o uregulowanie należności.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K O. 26.630.

R E D A K T O R przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się

P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4328 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3